Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. **30** groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok V. *Niedziela, dnia 18 kwietnia 1937 r.* Nr. 16

KRÓLEWICZ Z SZKLANEGO ZAMKU



Napewno kiedyś — tkałam wzór marzeń —
Baśń o królewnie z góry zamkowej
Znów się powtórzy w toku wydarzeń
I będę królewną w wydaniu nowym.

Napewno kiedyś rycerz wspaniały
Przybędzie do mnie daleką drogę
I na rumaku, jak mleko białym,
Powiezie mnie z sobą w zamkowe progi.

Rycerz mieć będzie srebrną przyłbicę
I twarz przecudną, jak cherub mały,
Zamek zaś skryty będzie w winnicach,
Ogromnie cichy i ze szkła cały.

Tkałam wzór marzeń i przyszedł do mnie
Ktoś... i piękny i dziwnie rycerski,
Ten z dawnych bajek, cudnych ogromnie,
Więc mu oddałam na własność serce...

I księżną panią będę dla niego
I w życia boju złotym weselem,
Choć zamiast zamku z marzeń szklanego —
Domek skromniutki będziemy mieli...

Maria Zemmlerówna.

WOJCIECH HOLM

27)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

Wtem Zuzia zauważyła czarną murzynkę i zaraz poprosiła męża, żeby jej kupił kilka takich czarnych kobiet.

— Nic z tego nie będzie — odpowiedział na to Schulze. — Niewolnictwo zniesione jest już od r. 1865. Teraz te czarne szelmy tak dobrze są wolnymi Amerykanami, jak sam prezydent.

Zuzia była rozczarowana.

— Jakto? — mówiła — więc nawet nie będę miała tuzina niewolników? Pocóż w takim razie przyjeżdżaliśmy tu do Ameryki? Wolałabym była zostać we Wiedniu.

Schulze wyciągnął czerwoną zatabaczoną chusteczkę, aby ukryć uśmiech. Mayer, podobnie jak Zuzia, czuł także żal do Schulzego o to, że nie ma niewolnictwa w Ameryce.

— Tylu murzynów kręci się tutaj — rzekła Zuzia znowu — może więc będzie można kupić sobie kilku.

Schulze wypluł tytoń z ust, który żuł i odpowiedział:

— Wykluczone, tylko to możliwe, że pani prędko się pogodzi ze stosunkami w Ameryce, gdyż jest to kraj, w którym dużą rolę grają kobiety. Zresztą tak piękna dama jak pani, będzie tu miała napewno wielkie powodzenie.

Niezgrabne to pochlebstwo bardzo się Zuzi podobało.

Wkrótce wjechali na Broad Way, najbardziej ożywioną ulicę Nowego Jorku. Gwary tysiąca głosów oszołomiły Zuzię.

— Dlaczego oni tu nie mówią naszym językiem? — lamentowała — nic a nic nie rozumiem, co oni mówią.

— Nauczy się pani szybko po angielsku. Tak inteligentna kobieta, jak pani, prędko sobie da radę z nowym językiem — uspakajał ją Schulze.

Zuzię pochlebstwem można było zawsze ująć, to też uwierzyła odrazu, że nauczy się angielskiego w ciągu jednego tygodnia.

Tym czasem zatrzymali się przed lokalem z napisem: „Gospoda Biedermanna".

Za oknem wystawowym stały likiery, wódki i konfitury.

— To tu! — rzekł Schulze, wysiadając.

Woźnica, który ich przywiózł, zażądał dość wysokiego wynagrodzenia. To zdenerwowało Mayera do tego stopnia, że zaklął i już chciał nawymyślać woźnicy od złodziei i naciągaczy, ale powstrzymał go od tego błagalny wzrok Zuzi.

Po wypłaceniu należności dorożkarzowi, Schulze wprowadził państwo Mayerów do wnętrza domu.

W pierwszym pokoju stał bufet z flaszkami, szklankami i obwarzankami, za którym rudy gospodarz z godnością pełnił swoje funkcje.

— Przyprowadzam panu gości, panie Biedermann — rzekł Schulze.

— Ha — odpowiedział Biedermann — w dużym pokoju mam 15 łóżek, każde



Scena nie tak tragiczna, jak się na pierwszy rzut oka wydaje, gdyż ilustruje tylko upadek amazonki z konia, który nie chciał wziąć przeszkody.

na dwie osoby i wszystkie już zajęte.

— My chcemy osobny pokój — rzekła Zuzia.

— Piętnaście dolarów na tydzień — odparł gospodarz uprzejmie.

— Piętnaście dolarów? — krzyknęła Zuzia — to znaczy 30 reńskich?

— Tak jest — objaśniał dalej uprzejmie Biedermann i kto nie posiada bagaży, ten płaci zgóry.

— Mamy wprawdzie bagaże — odpowiedziała Mayerowa dumnie — ale pomimo tego nie chcemy kredytu.

— Brawo! To moje zdanie: „bez kredytu! — zawołał Biedermann i pokazał olbrzymi plakat, leżący na stole, na którym były wypisane te dwa słowa.

Na drugiej ścianie wisiał również plakat, na którym było wykaligrafowane, że pan Biedermann płaci zawsze gotówką za czynsz, wiktuały i napoje i dlatego też żąda tego samego od swych gości.

Zawołał na kelnera.

Zjawił się barczysty murzyn, który zaniósł kufry Mayerów do pokojów mieszczących się na 3 piętrze.

Pokój był bardzo nędznie umeblowany, więc Zuzia była niezadowolona.

— Długo tu nie wytrzymamy! — rzekła.

Naraz piskliwy głos niewieści zawołał na kolację Mayerów. Schulze zaprowadził ich na dół, do pokoju, w którym siedziało 60 osób przy długim stole.

Kolacja odbyła się w milczeniu. Wkrótce całe towarzystwo wstało od stołu, aby się rozlokować wygodnie, w źle umeblowanych i skąpo oświetlonych pokojach.

Pan Schulze zdawał się nie mieć żadnego pilnego zajęcia, gdyż bez przerwy zaszczycał gospodę Biedermanna swoją obecnością.

— Widzi pan — rzekł, wyciągając z kieszeni brudne, zatłuszczone plany i wskazując na jedno miejsce: „to jest błogosławiony kawał ziemi". Tam jest zakopane złoto. Dom jest niby mały pałac, obok park i ogród. A jakie stajnie i bydło tam się znajduje! Wspaniały kawał ziemi! Wprawdzie nie ładnie jest się chwalić, ale to muszę powiedzieć; nie każdy dla brata swego byłby kupił podobną posiadłość. Ja mu kupuję, a ten szelma nawet nie przyjeżdża. Koniec końcem muszę się rozejrzeć za kupcem, któremu to odsprzedam i dużo z tego powodu stracę.

— A dlaczego pan dla siebie nie zatrzyma tej posiadłości? — zagadnął go Mayer.

— Nie mogę. Po pierwsze nie rozumiem się na rolnictwie, a powtóre mam tu na miejscu interesa handlowe, których nie mogę porzucać.

— A ile pan za to zapłacił? — zapytał znowu Mayer.

— Zaraz pokażę panu kontrakt kupna — rzekł Schulze, wyciągając dokument z kieszeni.

Ani Mayera, ani Zuzię nie uderzyło to, że Schulze tyle papierów nosił przy sobie. Z kontraktu dowiedzieli się, że pan Szulze kupił farmę, która się nazywała: „Szczęście i błogosławieństwo", za 2.000 dolarów.

— No, widzicie — irytował się — i teraz ją będę msiał odsprzedać za 1.500 i stracę okrągłe tysiąc reńskich. Niech to diabli wezmą. Najlepiej nie mieć żadnych krewnych, bo tylko człowiek martwi się niepotrzebnie.

— Ma pan rację — odpowiedziała Zuzia. — Mój Józef także ma brata, z którym nie może się zgodzić.

— Tak, tak — mówił pan Schulze — nie warto żyć bliżej z krewnymi. Powodzi się komu źle, to omijają go jak zapowietrzonego, a jak mu dobrze, to zbiegają się tłumnie ze wszystkich stron. Żebym przynajmniej znalazł jakich kupców, porządnych i rozsądnych ludzi, którzyby potrafili ocenić tak świetną i rzadką okazję. Ale na pewno znajdę jakiegoś durnia!

— Czy mógłby nam pan pokazać ten kawałek ziemi? — zapytał Mayer — czy nie moglibyśmy jutro tam pojechać?

— To niemożliwe! — zaśmiał się Schulze — bo 500 mil od Nowego Jorku znajduje się ta posiadłość. To daleka droga, a ja nie mogę oddalać się na długo od moich interesów. Mam tam rządcę, któremu chętniebym sprzedał to, ale ten jest biedny, jak Hiob. Zresztą kupca znajdę. A właściwie już go mam, bo pewien krawiec szuka posiadłości dla swego zięcia, tylko szkoda dla niego tej pięknej ziemi.

— Hm, gdybym ją mógł widzieć — odezwał się Mayer — to możebym ja ją kupił.

— Kupić może pan i bez tego! — zapewniał Schulze.

— Nie — śmiał się Mayer — kota w worku nigdy nie kupuję. Ani tabaki za centa nie kupiłbym, gdybym jej nie widział.

— Jak pan chce — odparł Schulze — a teraz napijmy się, zanim się pożegnamy.

Przywołał gospodarza i szeptem wydał mu jakieś zlecenia.

W krótkim czasie po tym, na stole znalazł się świetny poncz.

Rudy Mayer postanowił sobie nie pić dużo, ale poncz tak mu smakował, że

zapomniał zupełnie o postanowieniu i spił się, jak bela. Pamiętał tylko, jak przez sen, że czterech ludzi zaniosło go na górę do pokoju i położyło na łóżko. Obudził się bardzo późno ze strasznym bólem głowy. Skoro tylko otworzył oczy, zobaczył płaczącą żonę, siedzącą przy oknie.

— Czy wytrzeźwiałeś już zupełnie? — zapytała z płaczem.

— Tak jest, zupełnie! — odpowiedział Mayer opryskliwie.

— To ubierz się czym prędzej i idź natychmiast do Szulzego i powiedz, że odwołujesz to kupno — zawołała Zuzia.

— Jakie kupno? — zawołał Mayer, blednąc z przerażenia.

— No przecież kupiłeś farmę tej nocy i po pijanemu oddałeś mu wszystkie swoje pieniądze.

— Nie może być! — zawołał Mayer ogromnie przerażony. — Jakże ja mu mogłem oddać wszystkie pieniądze, skoro czeka nas jeszcze podróż?

— O to, już się pan Schulze postarał — rzekła Zuzia zrozpaczona — dał nam bilety kolejowe i nie pozostaje nam nic innego, jak tylko natychmiast wyjechać.

Mayer wyskoczył z łóżka i sięgnął do kieszeni, w której miał pieniądze. Nie zostało po nich ani śladu, a natomiast w portfelu miał kontrakt kupna, w którym było potwierdzone, że kupił farmę „Szczęście i błogosławieństwo" od pana Schulzego, z całym inwentarzem żywym i martwym za 1200 dolarów. Dołączony był bilet jazdy koleją i parowcem.

— Co teraz począć z tym? — lamentował Mayer.

— Musisz odwołać! — rzekła Zuzia — interesa robione po pijanemu nie są ważne.

— I czemuś dopuściła do tego? — wrzasnął Mayer. — Czy nie mam cię na to, abyś mnie wstrzymywała od czegoś podobnego?

— Dobrze ci tak! — odparła Zuzia — gdyż w nocy, kiedym ci dogadywała, żebyś tego nie robił, skrzyczałeś mnie przy wszystkich ludziach, że to są twoje pieniądze i że ja nie mam nic do gadania.

Mayer ubrał się czym prędzej i pobiegł do gospodarza.

— Panie gospodarzu! — zawołał — gdzie mieszka pan Schulze?

— Ba, gdybym to wiedział — mruknął Biedermann — przecież nie mogę znać adresu każdego pana, który tu przychodzi na szklankę ponczu.

— Ależ on pana znał! — zawołał Mayer już zirytowany.

— Mnie, Bogu dzięki, zna dużo ludzi! — pochwalił się Biedermann.

— Muszę go odnaleźć! — jęknął Mayer.

— O, to będzie trudno — powiedział Biedermann. — Zresztą, ma pan na tydzień wikt i mieszkanie zapłacone, więc przez ten tydzień może go pan szukać.

Mayer rozgniewał się na gospodarza i powiedział mu bez ogródek, że go razem z Schulzem oszukał.

— Jeżeli pan piśnie jeszcze słówko, to każę pana wyrzucić! — odpowiedział Biedermann.

Mayer wybiegł z domu na poszukiwania Schulza. Biegał cały dzień i pytał kilkunastu policjantów o radę. Zmęczył się okropnie i wrócił późnym wieczorem.

— Czyś go znalazł? — spytała Zuzia.

Zrozpaczony wzrok męża powiedział jej wszystko.

Zamiast go jednak pocieszyć i dodać mu odwagi, jak powinna uczynić dobra żona, robiła mu jeszcze wyrzuty.

To sprawiło, że Mayer otrząsnął się trochę z rozpaczliwego usposobienia.

— Milcz — krzyknął — przeklęta babo! Przecież jeszcze nie wiemy, czy nas oszukał i czy ta farma nie jest wartościowa. Pojedziemy i zobaczymy, a wtedy będziesz mogła gadać.

— Na pewno nie taka, jak mówił — odpowiedziała Zuzia — bo jakby była coś warta, to nie miałby potrzeby ciebie upijać.

— Milcz — wrzasnął Mayer — nie chcę nic więcej słyszeć!

Pobiegł na dół do szynku i rozkazująco zażądał jedzenia.

— Już dawno po kolacji — odpowiedział Biedermann — kto teraz chce coś dostać, musi za to osobno płacić.

— A to ładna historia! — wrzeszczał rudy Mayer — czy to ja nie zapłaciłem z góry za jedzenie i picie? Z jakiej racji mam być głodny?

— Pańska wina — odpowiedział Biedermann najspokojniej — gdyby każdy z gości chciał siadać do jedzenia, kiedy mu się podoba, to byłby tu ładny porządek. Jeżeli pan chce coś jeść teraz, niech pan osobno zapłaci!

. . . .

Za bufetem stała wysoka, silnie zbudowana niewiasta, która wmieszała się do rozmowy.

— Daj spokój, Biedermann — rzekła — ten pan jest nietutejszy i nie wiedział o tym, że tu jest taki zwyczaj.

— Co pan chce zjeść? — spytała.

— Wszystko mi jedno, bo jestem głodny! — odpowiedział.

Kobieta przyniosła mu zimnego mięsa, chleba, masła i sera i przyrządziła mu szklankę grogu.

— Rano o siódmej jest śniadanie — objaśniła go — o pierwszej obiad, a o ósmej kolacja. Niech pan się do tego zastosuje, bo na drugi raz nie będziemy robili wyjątku.

Mayer posilił się i rozgoryczony mocno poszedł spać. Zmęczony był bardzo, więc zasnął zaraz, lecz całą noc niepokoiły go sny.

Śniło mu się, że Schulze z ironicznym śmiechem chowa do kieszeni paczkę banknotów, a Zuzia krzyczy ostrym głosem:

— A więc po to jechałam średnim pokładem i znosiłam szyderstwa, aby wzbogacać pana Schulzego? Czekaj, ty nędzny skąpcze, zapłacisz mi za to!

Nie wzruszyło go to jednak.

— Idź na złamanie karku — mówił przez sen — nie zatrzymuję cię.

Sen był taki wyraźny, że nazajutrz rano, Mayer zdziwił się, zobaczywszy, że Zuzia nie uciekła i leży w pokoju na łóżku.

Udał się na dół, na śniadanie, potem wyszedł znowu z gospody, aby włóczyć się po ulicach Nowego Jorku i bezskutecznie szukać swego rodaka, który go tak haniebnie oszukał.

ROZDZIAŁ LXXXVI.

Teobald pozbywa się niewygodnego gościa

Bardziej niż kiedykolwiek zasługiwała pani Hai obecnie na nazwę złego kota, bo w przerażający sposób przypominała to zwierzę. Skradała się bowiem ciągle jak kot, i jak kot czyhała coraz to na kogo innego.

Przemyśliwała teraz stale nad tym, w jaki sposób nakłonić markiza de Lorme, aby z własnej woli opuścił jej dom, do którego go sama tak chętnie przyjęła.

Bystre, przenikliwe jej oko spostrzegło aż nadto dobrze, że w sercu markiza powstała najczulsza miłość dla pięknej dziewczyny, która go tak troskliwie pielęgnowała i że Ida miłość tę odwzajemnia.

Chodziło jej teraz o to, aby nie dopuścić do spotkania markiza z młodą dziewczyną i przeszkodzić jego oświadczynom.

Gdyby bowiem młody Francuz to uczynił, odebrałby nadzieję Teobaldowi, a że jedynak jej wbił sobie to w głowę, aby się z Idą ożenić, chciała mu, jako czuła matka pomóc w jego matrymonialnych zamiarach.

Ida natomiast unikała młodego Haia, o ile to było możliwe. Ten jednak umiał zawsze chytrze wejść jej w drogę i udawać gentelmana. Jednak, mimo całego swego przymilania się, nie pozyskał sympatii młodej dziewczyny.

Wkrótce i Teobald odgadł prędko, że młody Francuz był jego rywalem i to szczęśliwszym rywalem.

— Ten frant musi się jak najprędzej stąd wynieść, mamo — szepnął swej rodzicielce — bo jak jeszcze dłużej tu zostanie, to ożeni się z Idą.

— Diabła tam! — mruknęła gniewnie — całe nieszczęście w tym, że nie umiem się z tym facetem porozumieć. Ty sam się musisz z nim rozmówić;



W Polsce rok szkolny rozpoczyna się normalnie 1 września, natomiast w Niemczech 1 kwietnia. Na zdjęciu widzimy przejęte ważnością chwili twarzyczki „świeżo upieczonych uczni" podczas pierwszej lekcji.

„parlujesz" przecież po francusku, jak paryżanin.

Powiedz markizowi pod największą dyskrecją, żeś się dziś zaręczył z Idą, ale że musi to jeszcze zostać w tajemnicy, bo ci ojciec bogatą pannę na żonę przeznaczył i dopiero musisz sobie wywalczyć jego pozwolenie na ślub.

A gdy się Idy zechce o to zapytać? — wahał się Teobald — to kłamstwo nasze wyjdzie na jaw.

— On by się u Idy tylko wtedy informował, gdyby wątpił o prawdzie twoich zwierzeń — uspakajała matka swego jedynaka — musisz więc zagrać małą komedię i przez kwadrans symulować szczęśliwego narzeczonego.

Śmiała się przy tym złośliwie.

— Szkoda, że mama nie jest mężczyzną — zauważył Teobald z szacunkiem — z mamy byłby sprytny chłop

— Dlaczego? — spytała pani Hai poirytowana.

— No! — rzekł syn — bo mama zabiera się do rzeczy, jak dragon! Zresztą cały plan dobrze jest obmyślany! Gdzież jest Ida?

Chciałem markizowi już dawno złożyć moje uszanowanie i odnowić dawną, przelotną z nim znajomość, ale lekarz ordynujący zawsze sprzeciwiał się temu.

— Czemuś go się pytał? — mruknęła pani Hai niezadowolona — kto się pyta, ten musi się liczyć z odpowiedzią!

— Trzeba przecież zadość uczynić formie — oświadczył Teobald. — Mamo, a cóż Ida?

— Chcesz przez to zapytać — rzekła pani Hai — czy Ida w tobie się zakochała! Zdaje się, że nie i nie rozumiem na kogo ta kapcanka czeka? Czy to nie jest niesłychane szczęście dla niej, że ty się nią interesujesz? Czy nie powinna Bogu na klęczkach dziękować za to, że wychodząc za ciebie, wchodzi w tak poważaną rodzinę, jak nasza. Niech tylko będzie twoją żoną, to jej już pokażę kto ona a kto my...

— Nie mów „hop", póki nie przeskoczysz — odciął Teobald szyderczo — już ja sobie swoją żonę sam wychowam i wybiję jej niesforne nawyczki, które mnie u niej rażą! Wypraszam sobie zaś z góry wszelkie wtrącanie się do moich spraw. Jeżeli mama onieśmieli teraz dziewczynę swojem szorstkim, gburowatym obejściem, to gra nasza stracona! Ida należy do tych spokojnych, uległych istot, które doprowadzone do ostateczności, rozwijają nagle energię i siłę, jakiej by się nikt po nich nie spodziewał.

— Mówisz do mnie tak, jak gdybym była ludożercą — broniła się pani Hai obrażona. — Ale stare przysłowie dobrze mówi, że „gdzie miłość wchodzi drzwiami, tam rozum wychodzi oknami". Czego piękna twarzyczka nie dokona! Gdyby była zezowata, miała szerokie usta i krótki nos, tobyś tak o nią nie dbał.

— Hm — mruknął Teobald — okazuje się znów, jak mama nie umie ocenić moich niezwykłych zalet. — Jestem wzorem cnotliwego syna, zdolnego do największych ofiar dla swoich rodziców. Żenię się z Idą tylko dlatego, aby was uchronić od następstw, które może wywołać nieostrożność mego ojca niegdyś popełniona.

Słowa Teobalda wywarły dziwne wrażenie na jego matkę.

Zbladła jak trup i szepnęła synowi z błędnym wzrokiem:

— Milcz synu, bo możesz swoją gadaniną wtrącić nas w nieszczęście.

— Cóż ja takiego mówię? — ofuknął ją Teobald. — Ale nie traćmy czasu! Wyślij zaraz na dłuższy czas Idę z domu, ja zaś skorzystam z jej nieobecności i wyprawię markiza z naszego domu.

Pomyślała przez chwilę, a potem zadowolona rzekła:

— Wiem już co robię! Ojciec jest prezesem organizacji, wspierającej ubogich i daje się codziennie nudzić i nagabywać tej hołocie o zapomogi. Jak człowiek, który obowiązki swoje pojmuje głęboko, nie daje ojciec nigdy żadnej zapomogi, nim się osobiście, albo przez kogoś zaufanego nie przekona o stosunkach tych osób, które zapomogi żądają. Na biurku jego, leży znowu długi spis ludzi, proszących o zapomogę jubileuszową. Wyślę więc tam Idę na zwiady. Jak będzie chodziła do każdego z osobna na 4-te lub 6-te piętro i wysłucha długiej jeremiady lub stękania każdej baby, to nie wróci z pewnością prędzej do domu, jak późnym wieczorem.

— A czy to wypada posyłać młodą i piękną dziewczynę samą do takich ludzi i w takie zaułki? — zapytał Teobald niechętnym głosem.

— Do diabła z tym twoim głupim gadaniem! — wrzasnęła pani Hai — jak dalej tak będziesz postępował z tą dziewczyną, to zajdziesz jeszcze do domu dla obłąkanych. Ile tysięcy razy ja sama chodziłam na wywiady i nigdy żaden mężczyzna nie odważył się mnie zaczepić.

— No, to coś innego, mamo — odpowiedział Teobald oschle. — Mama mogłaby przecież być babką Idy.

— Nie chcę mówić z tobą więcej — irytowała się pani Hai — jak ci się mój plan nie podoba, to może sam wymyślisz lepszy!

— No, to niech Ida idzie — rzekł Teobald zrezygnowany — żądam, aby odprowadziła ją jedna ze służących.

— Cóż znowu? — przerwała pani Hai mówiącemu — nie mogę dzisiaj dać żadnej służącej, bo mamy pranie. Idy nikt nie ukradnie, może więc bezpiecznie pójść sama.

Ale tu natrafiła pani Hai na twardy upór.

— Niech mama nigdy nie zapomina o tym, że Ida jest moją narzeczoną — oświadczył Teobald, kładąc rękę na sercu — a mojej narzeczonej nie wypada chodzić po jakichś podejrzanych zakamarkach. Ida włoży swój nowy kostium, który jej sprawiłem, a Hania ją musi odprowadzić!

— Nowy kostium w dzień powszedni? — skrzywiła się pani Hai — jak przyzwyczaisz dziewczynę do takich zbytków, to prędko przepuścisz tych parę groszy, któreśmy z ojcem, w pocie czoła uskładali. Dożyję jeszcze tego, że nas wszystkich swoją rozrzutnością do torby żebrackiej doprowadzisz!

W odpowiedzi na długą, płaczliwą jeremiadę swej czcigodnej matuli, Teobald zaczął wygwizdywać jakąś piosenkę.

Potem nacisnął dzwonek, a gdy Hania przybiegła z zakasanymi rękawami i mokrymi rękoma, rzekł rozkazująco:

— Powiedz panience, że ją woła pani a sama ubieraj się co prędzej, bo odprowadzisz panienkę.

Hania spojrzała nieśmiało na swoją panią, która siedziała ze spuszczonymi oczyma i starała się opanować swój gniew.

Hania zaś, nie usłyszawszy żadnego innego rozkazu od swej pani, udała się do Idy, aby jej zanieść radosną wiadomość.

Znalazła ją przy łóżku chorego.

Markiz spał smacznie, a wygląd jego wskazywał wyraźnie, że wrócił już do sił.

— Panieneczko! Mamy w dwójkę pójść na spacer — zachichotała Hania.

Ida spytała zdziwiona:

— Dziś, przy wielkim praniu?

— Tak — rzekła Hania — młody pan tak chce! Niech panienka zaraz idzie do pani, a dowie się wszystkiego.

Z westchnieniem podniosła się Ida z krzesła. Tak polubiła ten skromny pokój, w którym była wolna od szyderstw i dokuczań.

Tu nie potrzebowała słuchać wyrzutów i łajań, których jej rodzina Hai nigdy nie szczędziła. Tu w sercu jej powstała miłość do pięknego nieznajomego, która z każdym dniem rosła i całą jej duszę wypełniała!

Gdy Ida miała się spotkać z Teobaldem opanowywała ją zawsze obawa. Z biciem serca wchodziła teraz do pokoju, w którym miała się zobaczyć z niemiłymi osobami.

Pierwszym odruchem Teobalda było ukraść Idzie całusa, lecz młoda dziewczyna wywinęła mu się zręcznym ruchem.

To rozgniewało panią Hai.

— Powinnaś to mieć za zaszczyt, jeżeli mój syn chce cię pocałować — rzekła ostro — cóż to za kaprys znowu! Powinnaś Bogu dziękować, że Teobald zakochał się w Tobie.

— Ależ mamo, przestań! — zgromił ją Teobald — Popatrz jak moja laleczka poczerwieniała! Chodź Idusiu i daj mi malutkiego buziaczka. Jestem przecież twoim narzeczonym, a za kilka tygodni będzie nasze wesele, więc nie rób ceregieli, mój aniele!

— Pani chciała mi dać jakieś zlecenie? — rzekła Ida, zwracając się do pani Hai i nie zważając na gadanie Teobalda.

— Ubieraj się! — rozkazała pani Hai gniewnie.

— W nowy kostium — wtrącił Teobald — włóż ten nowy, granatowy kostium, w którym wyglądasz tak pięknie, że trudno nie zachwycić się tobą.

— Myślisz, że wszyscy ludzie podzielają twój gust — rzekła pani Hai ostro — są jeszcze, Bogu dzięki, ludzie, którzy mają zdrowy umysł!

— Zdaje mi się, że mama jest zazdrosną o piękność Idy — zaśmiał się młody człowiek.

Pani Hai udała, że tego nie słyszy i ciągnęła dalej:

— Na biurku ojca leży spis osób, które prosiły o zapomogę w ciągu ostatnich ośmiu dni. Weź ten spis i idź do każdego mieszkania i dowiedz się dokładnie o stosunkach jakie panują w każdym poszczególnym domu. Obok nazwiska tych, którzy naprawdę potrzebują zapomogi, zrób krzyżyk, jeżeli zaś znajdziesz leniwą hołotę, to wykreśl nazwisko z listy. Nie przychódź prędzej do domu, nim nie odwiedzisz wszystkich proszących.

Ida oddaliła się w milczeniu. Pobiegła do kuchni i poprosiła Terenię, aby podczas jej nieobecności zaglądała od czasu do czasu do chorego, na co dobra dziewczyna zgodziła się chętnie. Później poszła do swego pokoju przebrać się i wkrótce wyszła z Hanią.

Zaledwie przekroczyła próg domu, młody Hai pobiegł do pokoju chorego. Wszedł bez pukania cichym krokiem tak, że chory nie zbudził się nawet. Usiadł obok łóżka na plecionym krześle, na którym Ida niejedną noc przesiedziała i patrzył na chorego, nie spuszczając z niego oczu.

Ostry, badawczy jego wzrok zbudził Arnolda.

Otworzył szeroko oczy i zdziwionym wzrokiem spojrzał na przybysza.

— Pozwoli pan, panie markizie — przemówił Teobald biegłą francuszczyzną — że odnowię znajomość, którą miałem zaszczyt nawiązać podczas mego pobytu w Paryżu. Nie spodziewam się, aby sobie pan markiz przypomniał moją mało znaczącą osobę, pozwoli więc pan, panie markizie, że się na nowo przedstawię: Teobald Hai.

— Bardzo mi przyjemnie — odpowiedział markiz słabym głosem i od razu powziął niewytłumaczony wstręt do tego młodego człowieka.

— Proszę sobie wyobrazić moje zdziwienie, panie markizie — odezwał się żywo Teobald — gdym zastał pana tu, jako gościa domu moich rodziców, podczas gdym przypuszczał, że pan znajduje się w Paryżu. Ubolewam ogromnie nad przykrym wypadkiem pana i wdzięczny jestem Opatrzności, że nie pociągnął on za sobą żadnych poważnych skutków.

Gdyby nie nadzwyczajnie troskliwa opieka w domu szanowanych rodziców pana, byłby się mój nieszczęśliwy wypadek smutnie zakończył — odpowiedział uprzejmie Arnold.

— Ach, to zapewnie aluzja do małej samarytanki, która pana tak troskliwie pielęgnowała — uśmiechnął się Teobald — prawda, że moja Ida jest aniołem?

— Pańska Ida? — zapytał chory, a śmiertelne przerażenie odbiło się na jego twarzy — jak to mam rozumieć?

— Mój Boże — odpowiedział Teobald — to powinno wprawdzie być tajemnicą, ale ja przecież mogę liczyć na dyskrecję pana, panie markizie. Rzecz ma się tak: ja i Ida wychowaliśmy się razem pod jednym dachem i kocham ją, od lat najmłodszych. Już jako młody chłopak uwielbiałem ją. Ida naturalnie odwzajemnia moją namiętną miłość. Do szczęścia naszego brak nam tylko jednego — błogosławieństwa moich rodziców. Ida jest bowiem biedną, a mój dobry papa przywiązuje wielką wagę do dóbr doczesnych. Przeznaczył mi on na żonę jakąś bogatą dziedziczkę i nie chce ani słyszeć o moich planach, ale że udało mi się zmiękczyć serce mej matki, czuję, że z jej pomocą osiągnę z czasem pozwolenie ojca i doprowadzę do tego, że uzna Idę za swoją synową.

Markiz de Lorme powstrzymał z trudem jęk, wydobywający się z jego piersi. Czuł, że mógłby z zimną krwią zamordować Teobalda. Byłby z radością oddał cały swój majątek, gdyby tą ofiarą mógł osiągnąć miłość, nad życie ukochanej dziewczyny, a ten nadęty, zarozumiały głupiec dawał mu wyraźnie do poznania, że Ida musiałaby poczytać sobie za największy zaszczyt, gdyby stary Hai zdecydował się uznać ją za narzeczoną swego syna.

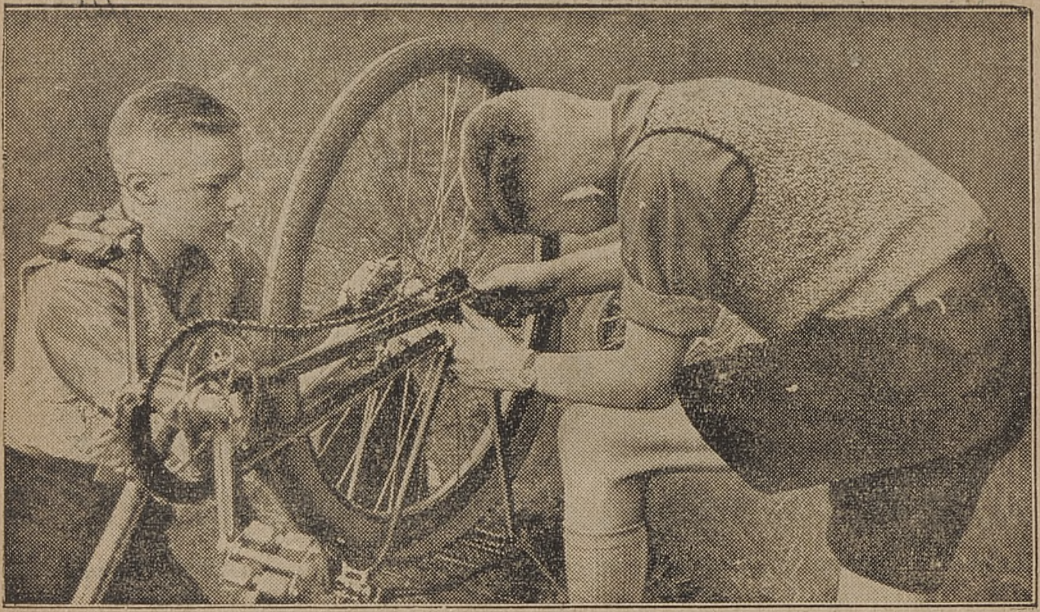
Ta ukochana istota, której markiz byłby z dumą dał swoje stare, szlacheckie nazwisko, miała w tym mieszczańskim domu być tylko z łaski tolerowaną osobą. Myśl ta tak oburzała Arnolda, że krew mu w żyłach zawrzała, a serce poczęło mu bić głośno i niespokojnie.

Teobald spostrzegł z triumfem, jak strasznie zirytował rekonwalescenta swoimi zwierzeniami i postanowił wyprowadzić go jeszcze więcej z równowagi. Zaczął więc na nowo swoje bezczelne wywody:

— Widzę, że pan, panie markizie, powziął szczerą życzliwość dla mojej słodkiej laleczki — nazywam narzeczoną laleczką, bo wygląda rzeczywiście, jak cudna zabawka. — Otóż spostrzegam, że pan ma dla mojej małej narzeczonej wielką życzliwość i na tej podstawie śmiem pana prosić, aby się pan, panie markizie, wstawił za nami u mego ojca. Nigdybym panu nie zapomniał tej przyjacielskiej przysługi.

Ta pretensja wzburzyła do reszty markiza. Omal że głośno nie wyjawił swej niechęci. Wstrzymał się jednak nadludzką siłą i połknął gorzki wyraz, który miał na ustach.

— Zapomina pan — rzekł oschłym głosem — że ja się z ojcem pańskim po-



Niespodziewana zupełnie przeszkoda na pierwszej, wiosennej przejażdżce...

rozumieć nię potrafię, gdyż nie włada on językiem francuskim. Jakżeż więc mam spełnić życzenie pańskie?

— Słusznie, bardzo słusznie — potwierdził Teobald — ale tej prośby mi pan markiz nie odmówi, aby zaszczycić nas swą obecnością w dzień wesela? — dodał z ukrytą złośliwością.

— Będzie to dla mnie największym zaszczytem — powiedział uprzejmie Arnold, chociaż męki wewnętrzne zeszpeciły mu rysy.

Nastała chwila, w której z trudem udało się Teobaldowi ukryć swą złośliwą radość.

— Czuję się znów bardzo dobrze — rzekł markiz, który nie mógł dalej żyć pod jednym dachem ze swoim rywalem — to też dziś jeszcze opuszczę dom, w którym doznałem tyle prawdziwej dobroci.

Teobald skoro tylko usłyszał, że markiz ma zamiar opuścić dom pod „Złotym Aniołem", zaczął go prosić, aby jeszcze przez jakiś czas pozostał.

— Ależ panie markizie — rzekł — przecież pan tego nie uczyni. Rodzice będą w rozpaczy na samą myśl stracenia tak dostojnego gościa. Nie, musi pan zostać u nas jeszcze pewien czas i tańczyć na moich godach weselnych.

— Pan bardzo łaskaw — odpowiedział markiz chłodno — ale czy zechciałby pan być tak dobrym i zadzwonić na którąś ze służących?

— Bardzo chętnie, panie markizie! — zawołał Teobald uczynnie — jestem nawet sam gotów panu usłużyć.

— Chciałbym swoje ubranie — odparł Arnold — nie mogę przecież od pana żądać, aby pan zastąpił mi kamerdynera.

— Ależ to bagatelka, z przyjemnością je panu podam! — rzekł Teobald i równocześnie otworzył szafę, stojącą w pokoju i wyjął stamtąd ubranie markiza.

Drżąc na całym ciele markiz zaczął się ubierać. Czynił to z wielkim trudem, a gdy wreszcie toaletę ukończył, rzekł niepewnym głosem:

— Proszę, niech mnie pan teraz zaprowadzi do rodziców swoich.

— Ojca mego nie zastanie pan w domu — rzekł Teobald — wyjechał nagle do Frankfurtu gdzie mu groziła wielka strata pieniężna, panie jednak będą zachwycone, móc pana powitać. Czy mogę podać panu ramię?

— Dziękuję panu, jestem dość silny, aby obejść się bez pomocy pańskiej — odparł markiz, a mówiąc to, myślał z goryczą:

— Dziś po raz ostatni zobaczę swoją ukochaną i po raz ostatni będzie mi wolno spojrzeć w jej ciemne, głębokie oczy.

Teobald zaprowadził markiza do pokoju, gdzie siedziała w niespokojnym oczekiwaniu jego matka.

— Mamo, gdzież jest moja mała narzeczona? — zapytał Teobald z dobrze udanym zdziwieniem — dlaczego mojej laleczki jeszcze tu nie ma?

— Ida poszła do swojej przyjaciółki — kłamała pani Hai, a równocześnie, załamawszy ręce, krzyknęła, niby ogromnie zdziwiona:

— Jezusie święty! To pan markiz! A wygląda tak świeżo i zdrowo, że aż miło popatrzeć! Proszę, niech pan markiz raczy usiąść! Proszę tu, obok mnie, na kanapie!

Chory z całego tego potoku słów zrozumiał tylko, że pani Hai prosi go, aby usiadł.

— Gdzież jest panna Ida? — zapytał, zwracając się do Teobalda.

— Poszła do przyjaciółki i ma z nią pójść wieczorem do teatru — kłamał Teobald z biegłością, która wskazywała, że był bardzo pojętnym uczniem swojej mamy. — Chciałbym moją koteczkę przyprowadzić z teatru o dziesiątej godzinie — ciągnął dalej — mimo, iż powinienem się gniewać, że ona mi nic o swoich planach nie powiedziała.

— Więc nie zobaczę więcej panny Idy? — mruknął markiz z bolesnym wyrazem twarzy. — Proszę mi pozwolić, łaskawa pani, abym wyraził swoją głęboką wdzięczność, za dobroć, którą mi pani wyświadczyła.

Teobald natychmiast przetłumaczył swej matce te słowa.

— O, proszę bardzo — odparła pani Hai z uśmiechem — było to dla mnie zaszczytem, że mogłam przysłużyć się panu.

W rzeczywistości pani Hai wcale się dla niego nie trudziła, gdyż zrzuciła cały ciężar pielęgnowania chorego na wątłe barki Idy, ale podziękowanie przyjęła z dumą.

Markiz raz jeszcze wypowiedział swoje gorące podziękowania, a pani Hai, ze zwykłą sobie biegłością, obrzuciła go takim potokiem banalnych frazesów, że mu aż zaszumiało w uszach.

Ponieważ nie miał już nadziei rychłego powrotu Idy, skrócił wizytę swą, o ile to było możliwe. Poprosił panią domu, aby oddała mężowi swemu piękne ukłony i pożegnał się.

Tymczasem Teresa przywołała mu dorożkę, a markiz wsunął jej w rękę tak książęcy napiwek, że dziewczyna była jakby oszołomiona tym bogatym datkiem, po czym wsiadł i odjechał.

Teobald z matką spoglądali długo za powozem, uwożącym markiza.

— Mama jest zuchem — zawołał Teobald z cynicznym uśmiechem. — Mama przejrzała markiza bardzo dobrze. Mówię mamie, gdym mu powiedział o swych zaręczynach z Idą, to omal nie skoczył mi do oczu. Była to boska przyjemność patrzeć na to jego wewnętrzne wzburzenie i źle utajoną wściekłość.

— Ida ogromnie skrzywi się, gdy się dowie, że tak nagle i niespodzianie markiz opuścił nasz dom — śmiała się pani Hai. — Skończy się teraz romans i przymilanie się. Teraz ta żaba będzie musiała się znowu porządnie zwijać, aby nadrobić zmarnowany czas!

Twarz jej przy tych słowach nabrała tak złośliwego wyrazu, że Teobald mruknął:

— Wiesz mamo, że strach przed tobą bierze!

Potem wyszedł do kuchni i szczypiąc Teresę w twarz, rzekł do niej:

— No, mały hultaju, ile guldenów zostawił ci pan markiz jako plastry na ranę, którą swym odjazdem spowodował?

— Pan markiz bardzo bogato i hojnie mnie obdarzył — rzekła dziewczyna z błogim uśmiechem.

— A więc i ja ci jeszcze coś dołożę — rzekł Teobald i pocałował wystraszoną kucharkę w oba policzki.

— Dalibóg, że ładna dziewczyna i w najbrzydszej sukni jest ładną — dodał — jesteś słodkim, małym stworzeniem. A czy masz już kawalera?

— Ale gdzietam! Gdzieby pani na to pozwoliła! — zapewniała Teresa.

— E, głupstwo! — śmiał się Teobald.

— Pewno — śmiała się Teresa — bo inaczej, nie mogłaby za mąż wyjść!

— A widzisz! Co jeden może, to i drugiemu także wolno — pouczał ją Teobald. — Nie trzymaj się więc tak święcie rozkazu pani, a jak ci się zdarzy jakiś ładny chłopiec, który cię zechce pokochać, to powiedz spokojnie: „tak".

Teresa zaczerwieniła się i skinęła głową.

— A nie gadaj panience, żem dziś był u markiza w pokoju — dodał Teobald, który tylko dlatego wdał się z Teresą w tak poufną rozmowę, aby jej móc niespostrzeżenie powiedzieć, by nie zdradziła Idzie jego wizyty u Francuza.

— Czy będziesz milczała gołąbeczku?

— Pewno, jeśli wielmożny pan rozkaże — zapewniała go Teresa.

— Tak, życzę to sobie — powiedział Teobald — a teraz możesz dać mi jeszcze jednego całusa.

— Co znowu próżnujesz, nicponiu? — krzyknęła pani Hai przeraźliwym głosem.

Teresa odwróciła się szybko i zobaczyła swoją panią, która weszła niespostrzeżenie.

— Czy myślisz, że bielizna sama będzie się prała? — wrzeszczała pani Hai, że aż ściany się zatrzęsły.

— Niech mama nie krzyczy — uspokajał ją Teobald — Teresa miała mi tylko zawiązać krawatkę.

— Mogłeś przecież przyjść z tym do mnie — powiedziała pani Hai — a nie odrywać Teresę od roboty i gadać jej głupstwa.

Zamiast odpowiedzi, Teobald zaczął wygwizdywać jakiś wesoły kuplet.

Pani Hai wyszła pospiesznie z kuchni i zatrzasnęła drzwiami, wściekła, że jej wymówki nie zrobiły na Teobaldzie wrażenia.

Postanowiła wylać swoją złość na Teresę i na Idę, i oczekiwała z niecierpliwością przyjścia tej ostatniej, lecz ku wielkiemu jej niezadowoleniu upłynęło wiele godzin do powrotu przybranej jej córki.

Ida spieszyła się, jak tylko mogła, bo obawiała się, że chory będzie opuszczony i zaniedbany podczas jej nieobecności. Wreszcie wróciła i weszła zmęczona do pokoju, w którym oczekiwała ją pani Hai z synalkiem.

— To muszę ci powiedzieć Ido — rzekła aptekarzowa, ze złośliwym uśmiechem — żeś bardzo źle musiała pielęgnować naszego chorego i pewno się źle z biedakiem obchodziłaś!

— Z czego pani to wnosi? — zapytała Ida, a rumieńce jej ustąpiły śmiertelnej bladości.

— No, mimowoli nasuwają mi się takie przypuszczenia — kłuła ją dalej aptekarzowa.

— Nie rozumiem pani — odrzekła Ida.

— Widać, że ciężko pojmujesz — odparła pani Hai. — Ledwo że markiz przyszedł o tyle do siebie, że mógł trochę wstać, uciekł stąd bez słowa pożegnania dla tej, która go podczas słabości pielęgnowała! Gdybyś go była dobrze doglądała, nie byłby przecież uciekał.

— To niemożliwe! — jęknęła Ida, a śmiertelny przestrach odbił się na jej twarzy.

— Ja sądzę, że panu markizowi nie dość wesoło było w naszym spokojnym domu — mówiła pani Hai szyderczo — i że dlatego umknął stąd tak prędko.

— Ależ pan markiz ani słówkiem nie dał mi poznać, że ma zamiar nas opuścić — odparła młoda dziewczyna.

— Ciche wody brzegi rwą — odcięła pani Hai ironicznie, a potem dodała gburowato:

Teraz marsz do swego pokoju i składaj paradę. Jak się tylko przebierzesz, idź doglądać kuchni, aby wszystko było zrobione na czas i to sobie zapamiętaj, że żadna z was nie śmie się położyć do snu, nim bielizna nie będzie na strychu.



Brat cesarza Japonii Cziczibu udaje się wraz z żoną na uroczystości koronacyjne do Londynu. Na zdjęciu para książęca, opuszczająca port Jokohamy na statku „Heinau Maru".

Milcząc, ze schyloną głową wysunęła się Ida z pokoju, aby w swej izdebce wypłakać swój ból.

Czy to było możliwe? Czyż Arnold de Lorme mógł odejść stąd bez słowa podzięki i nie zostawić nawet pozdrowień dla niej? Czyżby piękne, wymowne jego oczy miały ją okłamywać?

Dlaczego zdecydował się na wyjazd, który podobny był do ucieczki? Czy było to może następstwem jakichś nieprzyjemności, które mu tutaj wyrządzono? A może ją dlatego z domu wysłano, aby w jej nieobecności tym łatwiej przeprowadzić obmyśloną naprzód intrygę?

Podczas, gdy Ida siedząc w swoim pokoiku, zalewała się gorzkimi łzami, pani Hai mówiła szyderczo do swego jedynaka:

— Trafiłam w samo sedno! Ida zbladła jak ściana, gdy usłyszała, że się jej rycerski pupil pożegnał z nią tak obojętnie. A teraz zabierz się do rzeczy, nim dziewczyna zrozumie, jakiegośmy jej wypłatali figla.

— Niech tylko mama na mnie polega a wszystko będzie dobrze! — zapewnił ją z uśmiechem Teobald.

ROZDZIAŁ CV

Książę Iffalwi stara się pocieszyć

Prosimy szanownych czytelników jak najuprzejmiej, aby cofnęli się myślą do owej nieszczęsnej nocy, w której książę Iffalwi dowiedział się o grzechu młodości swej żony i wystąpił jako nieubłagany sędzia Irmgardy.

Obwieściwszy jej cały plan zemsty, którą dla niej wymyślał i upokorzywszy biedną kobietę, leżącą bez przytomności u nóg jego, nie mógł dłużej zostać z nią pod jednym dachem.

Wyszumiał już trochę, a teraz chciał jeszcze uspokoić do reszty wzburzoną swą krew, dziką jazdą konną i tak zewnętrznym natężeniem przygłuszyć burzę wewnętrzną.

Wypadł więc na podwórze zamkowe, gdzie przestraszony portier trzymał ognistego rumaka.

Nie mówiąc ani słowa, książę wskoczył na konia i popędził w szalonym galopie.

Wierzchowiec, podniecany ostrogami jeźdźca, gnał, jak huragan. Z zadowoleniem oddawał się Iffalwi tej dzikiej jeździe i chłodził nocnym powietrzem gorące skronie.

Gwiazdy świeciły jeszcze na ciemnym tle nieba i wskazywały samotnemu jeźdźcowi drogę, ale Iffalwi nie trzymał się równego gościńca, lecz pędził przez świeżo zorane pola i przesadzał szerokie rowy. Byłby się teraz chętnie znalazł na pustyni, na bezmiernych stepach swej ojczyzny, byle tylko móc gonić w szalonym pędzie i brać wszelkie szkody i zapory.

Szalejąc tak, stracił książę zupełnie rachubę czasu, dopiero, gdy na wschodzie pokazał się purpurowy brzask, zwrócił konia swego w stronę domu.

Wszędzie już panował ruch i życie i teraz dopiero spostrzegł Iffalwi ze zdziwieniem, jak bardzo oddalił się od swojej willi.

Nagle postanowił powrócić do Ober-Weidlingen i napawać się cierpieniem swej żony.

Zwrócił się więc w tym kierunku i pomimo, że jechał bardzo szybko, trwało dość długo, nim zobaczył zamek.

Ogrodnicy pracowali już w parku książęcym i jeden z nich pośpieszył usłużnie, aby potrzymać swemu panu konia.

Książę zeskoczył lekko z konia i spojrzawszy na niego zobaczył dopiero teraz, jaki był zziajany, okryty pianą i jak drżał wszystkimi członkami.

Prowadzaj „Heartseare" przez pół godziny w powolnym tempie tam i napowrót — rozkazał Iffalwi — a potem zaprowadź go do stajni i natrzyj mocno

winem, a następnie okryj go wełnianym kocem.

Dla zwierzęcia miał współczucie, tylko wobec swej żony, nie znał dumny książę Bela Iffalwi litości.

Głośnym krokiem wszedł po marmurowych schodach do komnat Irmgardy.

W buduarze nie było nikogo, poszedł więc w stronę sypialni swej żony. Kałuża skrzepłej krwi na podłodze wywołała dziki uśmiech na jego twarzy. Z dziką radością podniósł drogocenną szpicrutę ze ziemi, a potem odsunął niecierpliwie piękne, brokatowe kotary łóżka.

Bogato zaścielone łoże było jednak próżne i widocznie nie tknięte zupełnie.

Z przekleństwem na ustach pośpieszył książę do garderoby. Tam znalazł tylko ślad krwi, księżnej nie znalazł.

— O, czyż miałaby uciec? — zawołał książę w bezsilnym gniewie — ona musi być w mojej mocy, abym został pomszczony.

Niecierpliwie zadzwonił.

Niezwłocznie stawiła się z wystraszoną miną garderobiana księżnej.

— Gdzie jest księżna pani? — huknął książę.

— Jaśnie oświecona księżna pani nie dzwoniła jeszcze na mnie — odpowiedziała dziewczyna, drżąc na całym ciele.

— Głupie stworzenie — pienił się książę, ciskając iskry z oczu — czy się ciebie o to pytałem? Jej nie ma! Uciekła! Czyś jej nie widziała?

— Nie wiem o niczym, jaśnie panie — zawołała dziewczyna płaczliwie — nie widziałam księżnej pani od wczorajszego wieczora. Ależ na miłość Boga! Tu są ślady skrzepłej krwi. Przecież jaśnie pani chyba życia sobie nie odebrała?...

— Milcz, głupia! — rozkazał książę gniewnie — gdzie jest reszta służby? Przeszukajcie natychmiast cały zamek i całą okolicę.

Zadzwonił znowu i poczekał dopóki cała służba się nie zbiegła.

Iffalwi pytał wszystkich dzikim głosem, czy nie widzieli, gdzie jest księżna, a gdy się przysięgli, że jej nie widzieli, rozkazał im natychmiast przeszukać cały zamek i park.

Niecierpliwiąc się, książę pomagał im sam w poszukiwaniach i teraz dopiero spostrzegł ogromny nieporządek panujący w garderobie, pootwierane szuflady biurka w buduarze i leżące na ziemi rzeczy. To wyraźnie świadczyło o ucieczce Irmgardy.

Wyszedłszy do parku, zobaczył na ścieżkach wysypanych żwirem ślady małej stopy i zgrabnego trzewiczka. Teraz już nie miał wątpliwości, że Irmgarda tędy przechodziła.

Jeden służący po drugim co chwilę meldowali panu swemu z drżeniem, że księżnej nigdzie znaleźć nie mogą.

Iffalwi wiedział już teraz, że żona jego uciekła przed okrutną zemstą, kląl więc jak opętany.

— Ona mi nie ujdzie — wycedził przez zęby — niebo i ziemię poruszę, aby ją odnaleźć i zemścić się na niej dwukrotnie.



Włoski tenor, Beniamino Gigli, w swoim najnowszym filmie, noszącym tytuł: „Głos serca". Zdjęcie nasze ilustruje jedną z scen filmu.

Marszcząc brwi i przewracając oczyma, przechadzał się książę przez kilka minut po pokoju, potem krzyknął na stajennego:

— Zaprzęgnąć prędko „Bugga", a John niech ze mną jedzie!

Parobek pobiegł ile mu tchu starczyło, aby wypełnić zlecenie swego pana i w okamgnieniu lekki, angielski powozik był gotów do odjazdu. John „groom" ubrał się szybko w swą liberię. Koczyk zajechał przed drzwi wchodowe z pośpiechem a mimo to zniecierpliwionymu księciu wydawało się jeszcze za długo.

Z ponurem wejrzeniem skoczył książę na kozieł i ująwszy w ręce cugle, uderzył rumaki tak silnie swą szpicrutą, że popędziły jak szalone.

Angielski „groom" siedział z tyłu z założonymi rękoma i myślał:

— Jeżeli dziś wrócimy do domu bez połamanych nóg, to będziemy mogli dziękować za ocalenie. Wolałbym jednak, aby książę sam kark skręcił, a ja żebym uszedł cało, najwyżej z kilkoma lekkimi szramami.

Dojechawszy do Wiednia, musiał książę trochę zwolnić tempo, gdyż ruch uliczny hamował jego rozpęd.

Zatrzymał się przed małym, niepokaźnym domkiem w ciasnej uliczce bocznej, rzucił cugle „groomowi" i znikł w korytarzu domu.

— No — myślał John, jeżdżąc powoli tam i napowrót — będę tu pewnie czekał aż do ciemnej nocy, bo nie ulega wątpliwości, że „stary" odwiedza znów swoją kochankę. Gdyby bowiem chodziło tylko o jakieś zlecenie, to książę byłby wolał mnie posłać, zamiast iść osobiście.

Ale John mylił się tym razem.

Iffalwi wrócił po kilku minutach, a wyglądał straszniej, niż przedtem.

Nie było mu teraz w głowie bawić się z ładnymi dziewczętami, jak to John przypuszczał i chodziło mu tylko w tym wypadku o pana Gottlieba Sperlinga, agenta tajnego, który bawił obecnie pod przybranym nazwiskiem „Mehlhose" w Königswalden.

Sperling nieraz już oddawał księciu nieocenione usługi a nawet przy uwiedzeniu Hortensji pomagał mu. Tym razem miał szukać Irmgardę, a Iffalwi był pewnym, że nie ujdzie ona i w najskrytszym zakątku nadzwyczaj czujnemu i bystremu oku sprytnego detektywa.

Jakże rozczarowanym był książę, gdy mu stara gospodyni Sperlinga oświadczyła, że pana jej w domu nie ma i miejsce jego obecnego pobytu jest jej nieznane, a szybki powrót wątpliwy.

Gniewnie wysłuchał tej przykrej nowiny i odszedł ze złością, nie odpowiedziawszy nawet na uprzejme pytanie starej sługi: czym mu może służyć?

Wskoczywszy znów do kocza, jechał czas jakiś przez ulice bez wytkniętego celu .

Wreszcie zatrzymał się na jednej z mniejszych uliczek i wysiadłszy, wszedł do jakiejś starej, nędznej rudery.

Z niechęcią szedł po wąskich, stromych schodach na górę i zatrzymał się przy brudnych, oszklonych drzwiach, na których była karta wizytowa z napisem: „Ferdynand Zwirner".

Zadzwonił.

Niebawem zjawił się jakiś piegowaty, rudy pisarz, którego ręce i bielizna były bardzo wątpliwej czystości i zapytał imponującego arystokratę pokornie, czego sobie życzy.

— Chciałbym pomówić z panem Zwirnem — rzekł książę.

— Jak wielmożny pan rozkaże — odpowiedział brudny młodzieniec, składając uniżony ukłon — proszę wejść.

Otworzył drzwi i wprowadził gościa do ciemnego, niemiłego pokoju, urządzonego bez najmniejszego zbytku, poczem oddalił się szybko, obiecując, że pan Zwirner zaraz przyjdzie.

Książę przechadzał się tym czasem niespokojnym krokiem po pokoju i ledwie dwa razy go zmierzył, gdy drzwi się znów otworzyły i wszedł mały, chudy nadzwyczaj brzydki mężczyzna.

Skłonił się tak nisko, że długim swym i mocno wygiętym nosem, omal nie dotknął ziemi i przedstawił się jako „ajent tajny Zwirner".

Iffalwi zmierzył go nieufnym wzrokiem.

— Mówiono mi, że jest pan bardzo zręcznym ajentem — rzekł wreszcie tonem, pół pytającym.

— Zbyt wiele zaszczytu, książę panie — wymawiał się mały człowiek

Ciąg dalszy na str. 317.

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

ZWYCIĘSTWEM CZY KLĘSKĄ

„Nell — sztubaczka z Bydgoszczy". Odcyfrowałam uważnie drobniutkie literki listu Pani. Szalenie miły był on w swej bezpośredniej szczerości. Równie szczerze chciałabym Pani odpowiedziec.

Czy Pani źle nie podchodzi do życia? Czy Pani zbyt biernie do niego się nie ustosunkowuje? Na szczęście nie można czekać — trzeba samemu iść po nie. „Iść" w znaczeniu przenośnym, oczywiście. Bo szczęście nosimy same w sobie. Od naszego ustosunkowania się do wszelkich spraw zależy, czy będą one dla nas zwycięstwem czy klęską. Niech Pani to przemyśli — i sprawdzi na przykładach choćby z swego życia, a przyzna mi Pani rację. Nie będzie więc już Nell zazdrościć drugim uśmiechów?...

Sen wspomniany był tylko... snem. Daleki on od rzeczywistości. Ale to nie przeszkadza, aby Pani w dalszym ciągu czuła, że jestem Jej bardzo, bardzo bliską i oddaną?

Pisze Pani w pewnym miejscu swego listu: „Odpieram mężnie wszelkie troski". To dzielnie!

Co porabiam? Pracuję przede wszystkim. Czytam dużo. I chodzę na przechadzki. Nie pomyliła się Pani: i mną zawładnie nieraz nieokreślony smutek, ale staram się zawsze jak najwcześniej otrząsnąć z tego nastroju. A takie zwycięstwo woli, daje dużo satysfakcji — niech mi Pani wierzy!

Teraz kilka słów od Pani dla Czytelniczek i Czytelników: „Przedwiośnie" — dlaczego milczysz? Bardzo Cię proszę chociażby o kilka słów wyjaśnienia.

„Złocisty Promyku" za pozdrowienia ślicznie dziękuję i odwzajemniam je.

„Sztubaku z pod lasu" — przesyłam moc pozdrowień. List otrzymasz niedługo.

„Smutny Stefie" — czekam na obiecany liścik i pozdrawiam.

„Romantyczny śpiewaku" — znam doskonale miejscowość w której mieszkasz. Spędzałam tam świąteczne wakacje. Za pozdrowienia dziękuję i odwzajemniam je.

„Opuszczony marynarzu" — może napiszesz do mnie? Pozdrawiam.

„Marto" — o ile się nie mylę to znam Ciebie. Czy mieszkasz w Skokowie? Napisz dobrze? Miłe pozdrawiam.

Ponadto ślę pozdrowienia „Córce Wichru", „Blance", z prośbą czy nie zechciałaby poświęcić mi milutkiego wierszyka, „Dumce", imienniczce mej „Nelli", „Dziewczęciu z dalekiej Ojczyzny", „Stelli Maris", „Czarującej Ninie", „Rozkosznej Dziewczynce", „Ryśce D.", „Gladiatorowi", „Fotoamatorowi", „Jurowi z tajemniczych borów tucholskich", „Żołnierzykowi z grodu Lecha", „Wytwornemu włóczędze", „Wirrytowi" i „Podchorążemu z Grudziądza". Może ktoś do mnie napisze? Szczególnie przyjemność sprawią mi dysputy na tematy wojska, gdyż jestem jego gorącą zwolenniczką i całą duszą pragnęłabym być żołnierzem".

LIST, KTÓRY WSZYSTKICH ZAINTERESUJE...

„Ahmed el Siwi". List Pana musiał czekać dość długo na swoją kolej, ale wreszcie doczekał się. Zaciekawił mnie on bardzo, a to dlatego, że zawiera w sobie niezwykle oryginalne wiadomości. Z treścią tego listu zapoznaję wszystkich Sympatyków i żywię nadzieję, że nie poczyta mi Pan tego za złe.

„W niezwykłych wypadkach zapoznałem się z „Mojemi Powieściami", bo leżąc w szpitalu, gdzie przebywam po wypadku samochodowym, w którym nabawiłam się zapalenia opon nie samochodowych lecz mózgowych.

„Moje Powieści", to pierwsza gazeta, którą w Polsce, po powrocie z za granicy, czytałem. Została ona mi dostarczona przez mego brata, który jest wielkim entuzjastą tego tygodnika. Ostatnio i ja się stałem nie mniejszym entuzjastą, bo przecież nic innego, tylko „Moje Powieści" skracały me cierpienia i dawały mi chwile zapomnień. Za to czuję dla nich głęboką wdzięczność!

Niezmiernie zainteresowała mnie „Kraina". Czegoś podobnego jeszcze nie spotkałem. Chciałbym i ja należeć do licznego grona Sympatyków i z tej racji wnoszę apel o listy. Może z pośród licznego grona znajdzie się ktoś, kto zechce i do mnie napisać? Korespondencja taka dałaby mi dużo zadowolenia.

A teraz kim jestem? — Obieżyświatem — malarzem. Ostatnio przebywałem w Krainie Wschodzącego Słońca, gdzie uczyłem się, podpatrywując, sztuki japońskiej, która mię zawsze pociągała. W ostatnich tygodniach przybyłem do Ojczyzny, by odwiedzić Rodzinę i tutaj, przebywszy zaledwie 50 klm. od granicy czeskiej spotkała mnie niemiła przygoda, mianowicie katastrofa samochodowa.

Kończę mój list ponowieniem prośby o liściki. Piszcie do mnie, Kochane Rodaczki! Przebywając wśród piasków Afryki, czy ruin Colloseum, czy też w Krainie Wschodzącego Słońca, marzyłem i myślałem zawsze o Was. Niech więc spełnią się choć w części moje marzenia.

Czy w „Krainie" znajduje się jeszcze „Lucy z Rybnika"? Chciałbym nawiązać z tą Panią kontakt, gdyż miałem towarzysza, który mi zmarł u podnóża gór Atlasu, zostawiając dużo spraw do załatwienia właśnie w Rybniku".

BARDZO MIŁA WIADOMOŚĆ

„Zawierucha". Wierszyk śliczny! Bardzo miła wiadomość, prawda?

Fotografji mojej nie było w „Moich Powieściach" i nie jestem platynową blondynką. Jak wyglądam, dowie się Pani wtedy, gdy poniesie klęskę silniejszy narazie „obóz opozycyjny". A może wybierze się Pani kiedyś do Żnina, np. podczas wielkich wakacyj i osobiście przekona się, jak naprawdę wyglądam? Chyba pomyśli Pani nad tym trochę i w następnym liście doniesie mi, co postanowiła?

Pozdrawiam Panią i zamieszczam na zakończenie apel Pani do „Krainiaków:"

„Steniu z Ina"! Zdaje się, że poznałyśmy się ub. roku u p. R..... w Bydgoszczy. Czy pamiętasz „profesorka"?

P. J. L.! Przepraszam, że nie piszę, ale czuję, że korespondencja nie przyniosłaby nam zadowolenia.

Panu A. J. z Lubelszczyzny ślę serdeczne pozdrowienia".

CZEMU PŁACZĘ?

Choć tego nie chcę — kochać Ciebie muszę,
Boś zabrał serce, boś wkradł się w mą duszę,
Choć wiem, że innej swą miłość oddałeś,
Że mnie nie kochasz, ani nie kochałeś....
Wyrwać Cię z serca nie mogę mojego —
Dlategom smutna i płaczę dlatego...

„Zawierucha".

„PODZIELĘ SIĘ CHĘTNIE MOJĄ PROMIENNĄ MŁODOŚCIĄ"...

„Beniaminek". Może i w „Krainie" stanie się Pani beniaminkiem wszystkich i otrzyma tyle listów, że nie starczy Pani czasu na danie odpowiedzi. Apel Pani, tak samo charakterystyka Pani, są dziwnie pociągające, więc pierwsze moje zdanie na pewno nie będzie rzucone na wiatr. Tak myślę!

„Pragnęłabym nawiązać korespondencję z miłymi Czytelnikami i Czytelniczkami „Moich Powieści".

Jestem szatynką o radośnie roześmianej buzi. Może jest ktoś smutny i zniechęcony do życia, więc niech napisze do mnie. Podzielę się chętnie z nim moją promienną młodością. Adres mój: poste — restante, Toruń 1, dla „Beniaminka".

JEŻELI BĘDZIE PANI BRAK PRZYJAŹNI...

„Urszulka z pod Grudziądza". Bardzo mi żal Pani, że straciła Pani kochaną koleżankę. W życiu niczego tak nie żal, jak serca, które się kochało i ceniło i które straciło się niepowrotnie.

Jeżeli będzie Pani brak teraz jakiejkolwiek przyjaźni, proszę pamiętać, że ja istnieję i chętnie zastąpię Pani „niepowetowaną stratę" o której pisze mi Pani z takim wielkim smutkiem. Czekam na list i serdecznie Panią pozdrawiam.

Kilka komunikatów „Urszulki z pod Grudziądza":

„Marylko z nad Warty", dziękuję serdecznie za pozdrowienia, które w pełni odwzajemniam. Czy podał Ci już ktoś bratnią dłoń? Jeżeli nie, napisz do mnie celem bliższego porozumienia.

„Czarnulko ze Świecia", czy nie znamy się przypadkiem? Ślę Ci pozdrowienia!

„Podchorążaku z Grudziądza", czy list mój był naprawdę taki niemiły, że nie zasługiwał na odpowiedź? Czekam na wyjaśnienia i pozdrawiam!

Moc miłych pozdrowień ślę: „Fotoamatorowi", „Wioślarzowi", „Małemu Stasiowi" i „Stefkowi — Sztubakowi". Może napisze do mnie któryś z wymienionych wyżej Panów?"

DO WIADOMOŚCI OGÓLNEJ

„Słodka Maruszka". Bardzo chętnie podaję treść pocztówki Pani do wiadomości ogólnej:

„Halo! „He - Cze - Sem", dlaczego nie podjąłeś w terminie listu? Proszę, podejmij go, czeka na poste — restante!

„Cyganie" i „Samotny Geniu", na pewno mnie nie znacie — jestem też z Pałuk — nie domyślam się kto Wy, Chłopcy. Zaintrygowaliście mnie. Pali mnie ciekawość, lecz pierwsza nie napiszę.

„Neptunie II", co znaczy to milczenie? Czy sądzisz, że pocztówka wystarczy?

„Kujawiak", na list odpowiedziałam, czekam na nowe wiadomości.

„Wytworny Włóczęgo", odpowiedzi na list nie dałam z powodu braku adresu.

Czytelników z Kruszwicy i Chełmna proszę o listy. Miasta te znam dobrze, a więc korespondencja z ich mieszkańcami przyniesie mi napewno dużo radości".

W ŻYCIU POTRZEBNE SĄ MARZENIA...

„Stel". Przyjmuję Pana nanowo do naszej „Krainy" — jak tego marnotrawnego syna, co odszedł zwabiony czarem dalekości, a wrócił, bo... zbrakło mu serca, ciepła, życzliwych, dobrych dusz, wrócił, bo... rzeczywistość przygniotła go, przytłoczyła szarością, niesumiennością codziennego dnia, a on zapragnął marzeń w tę nadeszłą, tęgoroczną wiosnę, wiosnę „co każe kochać i marzyć i śnić"...

Tak. W życiu są potrzebne marzenia, Panie Stelu. Potrzebne są choćby tylko dla odprężenia skołatanego mechaniczną, nużącą pracą umysłu. Więc niech Pan marzy — wszak Pan jest lotnikiem i nawet pozytywnie może Pan „bujać w obłokach" — co nie każdemu z śmiertelników jest dane. Listy? Ależ otrzyma ich Pan napewno moc — nasza polska „gwardia lotnicza" cieszy się wciąż jeszcze ogromnym powodzeniem. Pozdrawiam Pana serdecznie.

ŻYCZĘ WIELE MIŁEJ KORESPONDENCJI

„Smutna Elli". Czy otrzymała już Pani liścik? Wysłałam natychmiast po otrzymaniu adresu. Życzę wiele, wiele miłej korespondencji, aby „Smutna Elli" stała się szybko „Uśmiechniętą Dziewczynką". Przechodzę 1 raz do apelu Pani do Czytelników:

„Dla „Czarnego Drypsa" — „Wiarusa — Murzynka" — „Tricotriną" i „Młodego Technika" — ślę moc pozdrowień".

„Wszystkim członkom miłej „Krainy" przesyłam śliczne „pa"!

BARDZO MI MIŁO!

„Carmen". Jeżeli chodzi o nazwisko to zgadła Pani, ale jeżeli o fotografię to nie. Bardzo mi miło, że ma Pani o mnie takie dobre wyobrażenie. Postaram się odpłacić za nie czymś innym, również dobrym i miłym.

„Tyle co do mnie. Gorzej z Wujki m Januszem! Dosłownie „zatkało" go coś, gdy mu przeczytałam słowa Pani:

„Czy Wujek Janusz nie jest czasem kimś w spódnicy. Chciałabym dowiedzieć się coś o tym...."

— „Świat się kończy! — powiedział — aby mnie, dzielnego młodzieńca, posądzać, że chodzę w spódnicy! Jeszcze nie wszędzie jest hegemonia kobiet. Na niektórych „kierowniczych stanowiskach utrzymali się mężczyźni". a więc i moja „Teczka" jest doprawdy prowadzona przez mężczyznę".

Powyższe słowa powtarzam Pani wiernie i zachęcam Panią do skreślenia kilku zdań do Wujka Janusza, gdyż pewna jestem, że przekona On Panią ostatecznie, że nie nosi... spódniczek. Czy pójdzie Pani za moją radą?

A teraz kilka słów Pani dla „Przedwiośnia" i innych Sympatyków:

„Przesyłam Ci, Miła Dziewczynko, wiele serdeczności i dziękuję za przesłane mi kiedyś pozdrowienia.

Słodka, Droga Lili, przyjm ode mnie całusy i uściski. Co robi nasz „gród" nad Wisłą?

„Ikarze III", „Czarny Drypsie" i „Rybaku z Helu", proszę przyjąć ode mnie pozdrowienia.

P. Wł. L. z U.! Gra utknęła na martwym punkcie? Finisch wiadomy!"

PROŚBA

„Młody Orzeł". Fotografię Pana zamieszczę, tylko... nie w określonym przez Pana terminie. Pisze Pan, że lotnictwo to żywioł Pana i od lat najmłodszych najcichsze marzenie. Marzenie to, jak wnioskuję z ostatniego listu Pana, spełniło się. Za kilka dni włoży Pan na siebie mundur lotnika i poszybuje w przestworza. Wyobrażam sobie zadowolenie Pana! Osiągnąć to, co się pragnęło, wymarzyć to, o czym się marzyło przez tyle lat! Czyż może być większe zadowolenie?

Żegnam Pana mocnym uściskiem dłoni i proszę poświęcić w swojej nowej służbie, tak mnie, jak i całej „Rodzince", od czasu do czasu trochę serdecznych myśli.

Od „Młodego Orła" dla Sympatyków:

„Uwięzionej Księżniczce" i „Echu Wsi" przesyłam jak najmilsze pozdrowienia.

„Rozkoszna Dziewczynka II"! Jeżeli jeszcze nikt nie napisał do Pani, proszę, niech mi Pani prześle jakiś znak, a nie zawiedzie się.

Dla wszystkich Czytelników z Poznania i okolicy, moc serdecznych pozdrowień!"

NARAZIE NIE MOGĘ POWIEDZIEĆ NIC KONKRETNEGO

„Banialuka". I mnie przykro, że list Pani „przepadł". Nie mam pojęcia, co się z nim mogło stać. Może Pani uda się odchylić rąbek tej upartej tajemnicy?

Przy wyborze nowych powieści oczywiście weźmiemy pod uwagę Pani życzenia, tym więcej, że są one jak najsłuszniejsze. Co zaś do rozszerzenia „Krainy", to narazie nie mogę podać Pani nic konkretnego. Serdecznie Panią pozdrawiam i na zakończenie zamieszczam kilka słów od Pani:

„Moc uścisków ślę „Manicie". Dziękuję Jej również za pamięć. Proszę, napisz do mnie!

Jak najserdeczniejsze pozdrowienia ślę: „Ince", „Smutnemu Serduszku", „Morowej Dziewczynce", „Biniusiowi", „Takiemu Jednemu", „Wesołemu Człowiekowi", „Młodemu Orłowi" i „Bujando del Nabierando". Może napisze do mnie „Cyganka o smętnych oczach" lub któraś z wyżej wymienionych osób.

„Półdiable Weneckie", przyjm mocny uścisk dłoni i pozdrów ode mnie Halę".

PRAGNIEMY ZABARWIĆ SOBIE ŻYCIE JAKIMIŚ WRAŻENIAMI"...

„Wesoła Wircia" i „Samotna Dzinka II". W ubiegłym numerze „Moich Powieści" Wujek Janusz wydał już opinię o wierszyku p. „Wirci", w bieżącym zaś numerze zamieszczam apel obydwóch Pań. Przed tym jednak dziękuję jeszcze Paniom za wszystkie dobre słowa, które odczytałam z prawdziwym wzruszeniem. Proszę pisać do mnie jak najczęściej!

„Halo! Tutaj „Wesoła Wircia" i „Samotna Dzinka II" — dwie sympatyczne, wesołe Pomorzanki. Życie nasze nie jest monotonne i smutne, ale pomimo to pragniemy zabarwić je jakiemiś wrażeniami. Sądzimy, że wrażenia te znajdziemy w korespondencji, dlatego prosimy wszystkie Panie i Panów o listy. Na każdy odpowiemy szybko i serdecznie. Pozdrawiamy „Rutę", „Minozę", „Hałszkę", „Jadziénkę", „Ord - Oma", „Zawiedzionego", „Wesołego Stefka z Grudziądza" i „Robinsona". Szczery uścisk dłoni łączymy dla p. Janki z Pelplina i zapytujemy Ją, czy przypomina sobie Wircię D. z S.?

TRUDNO MYŚLEĆ INACZEJ...

„Samotna Sosna". Za piękne życzenia Wielkanocne składam Pani gorące podziękowanie. Myślę o Pani jak najżyczliwiej! Bo trudno myśleć inaczej, skoro niesie mi Pani w listach tyle ciepła i serdeczności. Słowa moje, podobnie, jak słowa Pani, nie są konwencjonalne, ale zupełnie szczere. Wierzy w to Pani, prawda?

Komunikaty zamieszczam:

„Sympatykom, którym nie odpowiedziałam na listy — przepraszam. Nie mogłam postąpić inaczej, gdyż czułam, że korespondencja nie przyniosłaby obustronnego zadowolenia.

Mieszkam nad morzem, nawiązałabym więc chętnie nić sympatii z jakąś Czytelniczką z Gdyni lub okolic. Może dostanę jakiś liścik?

Poza tym przesyłam pozdrowienia wszystkim Sympatykom, specjalne zaś „Kujawiakowi", „Opuszczonemu Marynarzowi" i „Zrównoważowanemu".

„Smutna Kaziénko"! Napisz do mnie, dobrze? Pozdrawiam Cię!"

„BIAŁY TULIPAN" MÓWI O SOBIE

„Biały Tulipan". O ile wiem, dużo Pań zainteresowało się swego czasu „Białym Tulipanem" to też z przyjemnością dowiedzą się czegoś o Nim w dzisiejszym odcinku „Krainy".

„Chociaż trochę późno — pisze „Biały Tulipan" — ale przesyłam kilka danych o sobie:

Otóż mieszkam na Pomorzu, w wiosce dosłownie zabitej deskami od reszty świata.

Okolica tutejsza obfituje w duże jeziora i lasy. To też z zamiłowaniem oddaję się wędkarstwu i myślistwu. Lubię chodzić z strzelbą na ramieniu wśród niebotycznych sosen i podchodzić zwierzynę. To daje mi dużo zadowolenia!

Jak wyglądam? Mam jasną czuprynę, niebieskie oczy i podobno wytworny wygląd. Kocham przyrodę, ptaszki i zwierzątka leśne.

Moc milutkich pozdrowień przesyłam: „Echu Wsi", „Armidzie", „Rozkosznej Dziewczynce II" „Adzie z pod Wolsztyna" i „Zapomnianej Sylenie". Wymienione Panie sprawią mi prawdziwą przyjemność, gdy prześlą mi kilka słów".

APEL O LISTY

„Smutny Stef", postanowił za moją radą urozmaicić sobie życie interesującą korespondencją i w tym celu apeluje:

„Halo! Halo! Tu „Smutny Stef"! Ślę pozdrowienia całej „Krainie" i odwzajemniam serdeczny uścisk dłoni „Śnieżyczki". Może nadeśle mi Pani swój adres? Chętnie z Panią nawiążę korespondencję.

„Igo Czarnobrewo", przyjm serdeczny uścisk dłoni od kogoś, kto się Tobą szczerze zainteresował.

„Pat" i „Patachon"! Przyślijcie mi wagon radości i śmiechu, bo bardzo mi tego potrzeba.

„Takie małe Coś z loczkami"! Czy nie zechciałaby Pani i mnie poświęcić małego liściku?"

PROSZĘ O DOKŁADNY ADRES!

„Mistyk". Wierszyka Pana nie zamieszczam, bo nie wypadł tak, jak powinien. Podaję natomiast apel o listy, który zredagowałam na podstawie wiadomości, zawartych w liście Pana. Skoro tylko nadejdą jakieś listy, zaraz je Panu przekażę, tylko proszę o dokładny adres.

„Pociągnęła mnie dziwnie „Kraina" i to do tego stopnia, że postanowiłem sam do niej napisać. Pragnę nawiązać korespondencję z kimś serdecznym i naprawdę sympatycznym. Mieszkam na Pomorzu, w małym miasteczku, położonym nad brzegami Wisły. Z utęsknieniem oczekuję na pierwsze listy i ślę całej „Krainie" najserdeczniejsze pozdrowienia".

DLACZEGO?

„Joli — cocur". zapytuje „Malutką z Pomorza" i „Samotną Indiankę" dlaczego nie odpowiedziały na jego listy?

...WIĘC PISZ DO MNIE DALEJ TAK OBSZERNIE I SZCZERZE!

„Przedwiośnie". Maleńka moja! Twój list, zaczynający się czterowierszem, wyjętym z „Marii" Malczewskiego, natchnął mnie znowu jak najlepszymi myślami o Tobie. Pięknie podchodzisz do życia, Dziewczynko moja, a jeszcze piękniej patrzysz na nie. Wierzę, że nie sprzeniewierzysz się swoim zasadom, gdyż, pomimo, że jesteś jeszcze bardzo młodziutką, ugruntowałaś je już w sobie głęboko. Sprawiasz mi dużo radości swoimi listami, więc pisz do mnie dalej tak obszernie i szczerze.

Kilka słów Twoich przedrukowuję:

„Kochanie", zaszła mała pomyłka. Wybacz i przyjmij ode mnie promienny uśmiech i serdeczne pozdrowienia.

„Dziewczę z dalekiej Ojczyzny"! Musisz być szalenie miłą, gdyż tacy są wszyscy Twoi rodacy, których miałam okazję poznać w czasie pobytu na drugiej półkuli. Ściskam mocno Twoje łapki i życzę dużo powodzenia w „Krainie" miłej Rodaczce mych przyjaciół".

Teczka Wujka Janusza

SZAROTKA

Na mojem oknie kwiaty rzędem stoją,
Szkarłatne barwy mienią się z białymi,
W słońca pozłocie zda się dumy roją,
Zawodzą pieśni płatkami drżącymi. —
Wśród tego kwiecia szarotka srebrzysta,
Spogląda trwożnie białymi gwiazdami,
Od innych kwiatów odmiennie wzorzysta,
Za gór ojczystych zda tęsknić szczytami. —
Biedna szarotko, biedny kwiatku skalny,
Z gór cię rodzinnych wyrwano okrutnie,
Nie tuli ciebie wiatr ożywczy halny,
Ni orzeł muska w locie bałamutnie. —
Patrzysz z zadumą ku światłu do słońca,
Więziona w ciasnej doniczki okowach,
W przestrzeń bezbrzeżną topisz wzrok bez końca,
Słońcu się skarżysz w tajnych bólu słowach.
Patrzę na gwiazd twych puchowych zawoje,
Przędzą marzenia splatam nici złote,
Kroplami wody kwiat pragnący poje —
Może to stłumi ból twój, i tęsknotę.

Ignacja Piątkowska.

NIE PRZYPUSZCZAŁEM...

„Stella Maris". Nie chciałem Pani zrobić przykrości, a więc nie powinna Pani czuć do mnie żalu. Z niecierpliwością czekam nowego listu Pani, listu, który będzie znowu dobry i serdeczny, jak wszystkie inne listy „Stelli Maris".

Uśmiech przez smutek wydał mi się pięknym. Bardzo dziękuję za niego.

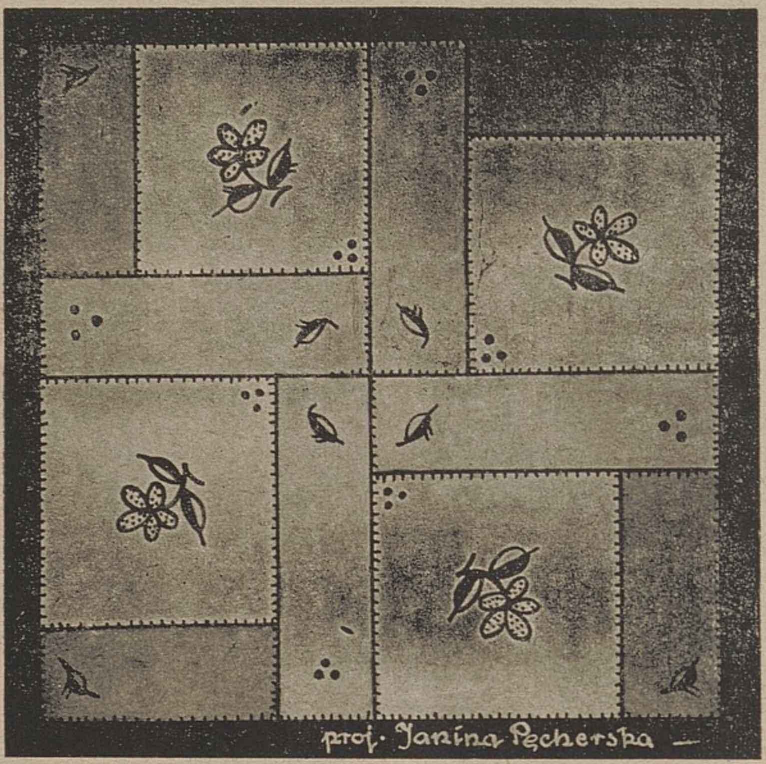
Rysunek niezwykle udatny. Nie przypuszczałem, że Pani obok tylu zalet posiada jeszcze jedną!

RADZĘ PANI PISAĆ PROZĄ!

P. M. R. z O. Wierszyki Pani posiadają ciekawe myśli, ale są słabe w formie. Radzę Pani pisać prozą. Może nowelki Pani wypadnie lepiej, niż wiersze. Proszę spróbować!

Za nadesłane żarciki — dziękuję Pani serdecznie. Ucieszę się, jeżeli napisze Pani do mnie znowu.

Raj kobiet



Bardzo gustowna serweta aplikowana i haftowana. Wzór w cenie 1.00 zł.

Pieśniarka Francji na gościnnych występach w Polsce

Sławna pieśniarka francuska dała się onegdaj poznać Warszawie na swym wieczorze w Teatrze Wielkim.

Kiedy ją po raz pierwszy ujrzeliśmy na dworcu, drobną, ruchliwą paryżaneczkę w lamparcim futerku, mimowoli nasunęło się trochę zawiedzione pytanie:



— Jakto, więc ta niepozorna osóbka, to Lucienne Boyer, za którą szaleje Paryż, której piosenki nieprzeliczonym rojem płyt gramofonowych wyfruwają w świat?

Wielka metamorfoza małej kobietki w wielką artystkę nastąpiła jednak jeszcze tego samego wieczora.

Scena Teatru Wielkiego, okrojona szarą kotarą, stała się dziwnie przytulna, prawie tak samo intymna, jak scenka własnego teatru artystki w Paryżu — „Lucienne Boyer chez elle."

Na środku fortepian, przy nim skrzypce, wiolonczela i basetla; w dwu krzyżujących się, oślepiających reflektorach połyskuje, jak szafir najczystszej wody, niebieski aksamit obcisłej, powłóczystej sukni pieśniarki. Stoi wśród swoich czterech nieodstępnych towarzyszy, członków rosyjskiego kwartetu.

Jak śpiewa? Czy śpiewa? Mówi, że nigdy nie uczyła się śpiewu, a jednak jej głos ciepły, słodki, brzmi z doskonałą muzykalnością. Ale mniejsza o arkana sztuki śpiewaczej; nie to czaruje w Lucienne Boyer. To, co jest jej wielkim, przemożnym atutem, to dziewczęcy wdzięk i zwycięska młodość, jej uśmiech, naprzemian smętny i kokieteryjny, świetna dykcja bez cienia efektacji, twarz o przebogatej skali wyrazu.

Cóż się najwięcej podobało Warszawie? Oczywiście to, co zna najlepiej z płyt. „Je me sens, dans tes bras, si petite..." zdawała się śpiewać cała sala, w takt rozkołysanych rąk artystki, które tak sugestywnie potrafią się zaciskać dokoła niewidzialnych męskich ramion.

Wspaniała była w swym tragiźmie pieśń wschodnia. Roześmiana dziewczyna paryska zamieniła się w lamentującą sulamitkę.

A na ostatku Lucienne przedzierzgnęła się w kwiaciarkę i ciskała w tłum czerwone gwoździki i róże. Kazała nam wszystkim śpiewać za sobą — nie, nic trudnego, po prostu „tralala". I kto ma ochotę, niech zejdzie na scenę, by otrzymać z rąk błękitnego zjawiska kwiat do butonierki. Amatorów, oczywista, nie brakło.

Jeszcze jeden ważny szczegół. Lucienne Boyer ubiera się zawsze na scenę na niebiesko, w odcień „bleu de roi". Ten kolor, to jej maskota, przynosi poklask i wenę. To też obie toalety były niebieskie: pierwsza, głęboko wycięta, bez rękawów z szafirowego weluru, druga powiewna i fałdzista, jak chlamida grecka, barwy błękitno-stalowej.

Zastajemy artystkę w czasie antraktu, kręcącą sobie z zadziwiającą biegłością loczki. Patrzą na nas filuternie wielkie, piwne oczy spod wydłużonych tuszem rzęs, uśmiechają się silnie ukarminowane usta.

— Robię wielkie tournèe po świecie — mówi swym ciepłym głosem. — Nie dawno byłam w Egipcie, teraz jadę na południe. Dlaczego nie gram w filmie? Nie pociąga mnie srebrny ekran, co mnie porywa naprawdę, to piosenka. Nie zamienię mego genre'u na nic innego.

— Zaczęłam od komedii. Dopiero słynny Ziegfeld, zobaczywszy mnie w Paryżu na Montmartre, zaproponował, bym wystąpiła w jego zespole amerykańskim.

Pojechałam. Udało się...

DOBRA GOSPODYNI

Ser śmietankowy. Do dwóch litrów słodkiego mleka daje się pół litra śmietany kwaśnej, poczem, wymieszawszy wszystko razem, stawiamy mleko w ciepłem miejscu na 12 godzin. Po skwaśnieniu ogrzewa się do temperatury 38 st. C., a po ostudzeniu zlewa się do woreczka. Po odciągnięciu serwatki, wyjmuje się twaróg, miesza ze sobą i ser jest zdatny do użytku.

Ser z mleka gotowanego. Na dwa litry przegotowanego i ostudzonego mleka daje się ćwierć litra kwaśnej śmietany i odstawia w ciepłym miejscu na 24 godziny Potem ogrzewa się do temp. 38 st. C., wylewa na sito, a po odcieknięciu serwatki pozostałość wkłada do woreczka, posypuje miałką solą po obu stronach, którą to czynność powtarza się przez kilka dni i kładzie się sery do osuszenia w przewiewnym miejscu

Gomółki polskie. Do dwóch kg odsączonego twarogu daje się 1 i pół szklanki śmietany, oraz 6 łyżeczek kminku i trochę soli, poczem wszystko razem dobrze miesza. Następnie formować podłużne gomółki maczając ręce w serwatce i układać na suchej deseczce w ten sposób, aby nie przytykały gomółki do siebie brzegami. Po obeschnięciu które ma miejsce po jakich dwóch dniach, solimy po obu stronach i osuszamy, przeważając je z jednej strony na drugą przez tydzień. Następnie wkładamy gomółki do kamiennego garnka. Na spód tegoż dajemy szmatkę, umaczaną w piwie itd. Z wierzchu kładziemy też szmatkę umaczaną w piwie, a na nią, odpowiednio wykrojony krążek drewniany. Naczynie stawiamy w cieple na okres tygodnia. Następnie wyjmuje się gomółki, oskrobuje, osusza dobrze i serki można konsumować. Gomółki dają się przechowywać przez kilka tygodni.

Kwargle. Ten typ serków robi się z mleka odtłuszczonego. Skwaszone mleko, odtłuszczone ogrzewamy do 30 st. C.. mieszając, dla lepszego oddzielenia się serwatki. Następnie odstawiamy je na godzinę, odlewając serwatkę. Po ostudzeniu twarogu zlewamy go do worków, a po zupełnem odcieknięciu serwatki wiążemy worek i dajemy na przeciąg dwóch godzin pod prasę. Następnie przepuszczamy ser przez maszynkę lub przecieramy przez sito, dodajemy kminku i soli mieszamy dokładnie i formujemy okrągłe kwargle wielkości około 10 cm. wysokości około około 3 cm. i układamy na deseczkę.

Obsuszamy kwargle w cieple około 20 st. C. co drugi dzień przewracając i myjąc w słonej wodzie. Po dwóch tygodniach, gdy dobrze obeschną i pożółkną, układa się kwargle do skrzynek w pięciu warstwach, jedna na drugiej, przewracając je codziennie. Skrzynki z serkami daje się do temp. 20 st. C., a po 5 dniach wynosi do piwnicy, gdzie dochodzą.

Świat i życie

Amsterdam hałaśliwym lecz wesołym miastem Holandii

Korespondencja własna)

Amsterdam, w kwietniu

Wizyta holenderskiej pary książęcej w Krynicy zwróciła i nasze zainteresowanie na ten piękny kraj, wydarty mózgiem i rękami dzielnego narodu, żywiołowi morskiemu

Oto garść wrażeń z Amsterdamu Okolice tego miasta utrwalają w pamięci widok charakterystyczny i wydarte morzu, płaskie, nizinne przestrzenie Monotonny ten krajobraz poprzerzynany jest czarnymi pasami rowów i kanałów z ciemną, stojącą wodą i dość gęsto rozsianymi wiatrakami, które służą nietyle do mielenia, ile do pompowania wody Bo przecież woda — to groźny żywioł dla Holendra Ujęta w karby dzięki geniuszowi ludzkiemu, zagraża jednak nieustannie i nakazuje czujność

W Amsterdamie, uderzyła mnie przede wszystkim nadzwyczajna czystość tego miasta zawdzięczać to należy nadzwyczaj częstym opadom (złośliwi twierdzą, że w Amsterdamie przynajmniej 365 razy na rok pada deszcz). Doskonale urządzone ścieki odprowadzają bardzo szybko wodę do ulicznych kanałów, tak, że po najbardziej ulewnym deszczu ulica osusza się w ciągu piętnastu minut.

Amsterdam jest miastem bardzo szeroko rozbudowanym. Do nowej dzielnicy z centrum jedzie się tramwajem około 45 minut. Dlatego też ruch pieszy jest stosunkowo nie wielki, za to do najbardziej

rozpowszechnionych środków lokomocji, oprócz tramwajów, należy rower.

Jeżdżą wszyscy: mężczyźni, kobiety, dzieci. Spotyka się często panie na rowerach, które w umocowanym z tyłu koszyczku wożą swe małe dzieci czasem... pieski, lub zakupione prowianty.

W biurach, urzędach, teatrach, kawiarniach, restauracjach urządzone są specjalne przechowalnie rowerów. Ruch rowerowy jest najbardziej ożywiony w dnie powszednie, w godzinach rannych i popołudniowych, tj. w czasie, gdy amsterdamczycy zdążają do pracy i po jej ukończeniu — do domów.

Wieczorem zaś mieszkańcy Amsterdamu zażywają spacerów w rzęsiście oświetlonej dzielnicy centrum, wyróżniającej się wspaniałymi bulwarami. bogactwem wystaw sklepowych, pomysłowymi reklamami świetlnymi i licznych w tej części miasta teatrzyków i kinematografów.

Ogólny wygląd Amsterdamu jest miły i pogodny. Niskie domy, wyróżniające się pięknością i czystością okien, za którymi kryją się z wielkim smakiem urządzone zaciszne wnętrza mieszkań. Tylko bardzo stara dzielnica z wąskimi uliczkami i często walącymi się domami, wyrastającymi wprost z brudnych nieraz nieprzyjemną woń wydzielających kanałów. sprawia niemiłe wrażenie, a w mrokach nocy wygląda wprost strasznie.

Poza zewnętrznym widokiem miasta, ciekawego ze względu na odrębną architekturę, liczne kanały i mosty podnoszone, otwierające się i obracające. Na specjalną uwagę zasługują muzea, a przede wszystkim Rijksmuseum z bogatą galerią obrazów. bogate muzeum kolonialne, muzeum miejskie, oraz zamieniony również na muzeum dom Rembrandta, w którym mistrz mieszkał i pracował.

Piękny jest park — Vondelpark, zwany laskiem Bulońskim Amsterdamu, bogaty ogród zoologiczny i pięknie urządzone akwarium.

Pomimo rzucającego się w oczy porządku, na ulicach Amsterdamu panuje duża swoboda: wolno hałasować, śpiewać, grać, a nawet tańczyć. Byłam zdumiona, widząc kilka par tańczących na ulicy w takt muzyki, dochodzącej gdzieś z zaułka.

Gromadki dzieci, zdążające parami pod opieką nauczyciela z chorągiewkami w rękach, uprzyjemniają sobie czas niemilknącym wrzaskiem.

Okrzyki radości, hałaśliwe objawianie entuzjazmu, zdziwienia, czy oburzenia, jest tutaj zupełnie przyjęte.

Gdy po raz pierwszy jechałam tramwajem w Amsterdamie, dziwiłam się ogromnie, widząc jakieś rozbawione towarzystwo pań i panów, zabawiające się wzajemnem zrzucaniem się z ławek za pomocą t. zw. u nas „sera", co wywołało okrzyki uznania i szczerą wesołość jadącej publiczności i pobłażliwy uśmiech konduktora. Później już przyzwyczaiłam się do tych widoków, które są tam na porządku dziennym.

Holendrzy są bardzo dumni ze swego kraju, który uważają za najpiękniejszy w świecie. Dumni są ze swoich miast i portów i wciąż oczekują od cudzoziemców wyrazów podziwu uznania i zachwytu, a gdy ich nie słyszą są wprost zdumieni.

— Piękne jest nasze miasto, prawda? — to pytanie słyszałam ciągle w Amsterdamie. J. P.

Ze świata

Opera — zakładem wychowawczym

Do Londynu przybyła przed kilku dniami Emma Redell. Jest to znana artystka amerykańska. Odwiedzi ona szereg stolic europejskich. Poza swą sławą, jaką zdobyła w Stanach Zjednoczonych na polu artystycznym, Redell jest również znaną działaczką społeczną. Jej zasługą jest uchwalenie t. zw. „Prawa operowego".

Artystka dowodzi, że wielu przestępców dałoby się sprowadzić na uczciwą drogę przy pomocy specjalnej metody wychowawczej. Najlepszym czynnikiem jest muzyka, która posiada wielkie znaczenie dydaktyczne, albowiem łagodzi przestępcze instynkty.

Dla swojej teorii zdobyła Redell senatora Shepparda który złożył w parlamencie amerykańskim odpowiedni wniosek. Odbył się szereg zebrań, na których zebrani poparli inicjatywę artystki.

„Prawo operowe" zmierza do ustalenia, że opery powinny być nietylko miejscem rozrywki, lecz również zakładem wychowawczym. Wyasygnowane będą znaczne sumy na przedstawienia, na które uczęszczać będą młodociani przestępcy.

Przestępcom na koronację wstęp wzbroniony

W związku z uroczystościami koronacyjnymi w Londynie, Scotland Yard również nie próżnuje. Niedawno wydał on książkę informacyjną przestępców z całego świata, z fotografiami, opisami poszczególnych złodziei i opryszków wszelkiego rodzaju.

Policja angielska roztoczyła baczną obserwację nad wszystkimi portami i pozostaje w stałym kontakcie z Policją Paryża, Nowego Jorku, Berlina, Toronto, Sydney i innych większych miast. Czynione jest wszystko, aby nie dopuścić do napływu elementu przestępczego do stolicy Wielkiej Brytanii na dni uroczystości koronacyjnych.

Niemiecka szkoła radiowa

Od dwóch lat istnieje przy Partyjnym Biurze Propagandy w Berlinie szkoła radiowa, której celem jest przygotowanie tych, którzy w przyszłości mają się zająć „racjonalną i zdrową propagandą radia" Techniczny program nauki dzieli się na częśc teoretyczną oraz praktyczną, aby zapoznać uczniów z budową aparatów jak i przeprowadzeniem instalacyj radiowych przy wspólnym odbiorze.

Zespół nauczycielski składa się z członków Partii Narodowo-Socjalistycznej, członków Rządu, mających wykłady o „światopoglądzie" partyjnym oraz techników i specjalistów radiowych. Wykładowcy pełnią swe funkcje honorowe, kładąc dużą uwagę na ścisły kontakt z uczniami.

●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●

TADEUSZ RAWICKI

Serweta

(NOWELA)

Wygląd pokoju był zawsze taki sam. Nie zmieniał się nigdy. Co dzień to samo łóżko zasłane zieloną kołdrą, ten sam stół nakryty cenną serwetą. Tak przynajmniej nazywała to nakrycie pani Kuczerska. Było w tym określeniu nieco przesady, zważywszy liczne ślady cerowań.

Nieraz miałem chęć zapytać Kuczerską, dlaczego mój stół nakrywa stale tym samym obrusem? Wiedziałem, że ma ich przecież więcej. Bałem się jednak urazić poczciwą kobietę. A może ona miała w tym jakiś ukryty cel? Kto to wie? Zresztą cóż mnie to wszystko mogło obchodzić?

W moim pokoju stały dwa krzesła. Na jednym siadałem sam, drugie stało puste. I znowu zastanawiałem się: po co to drugie krzesło? Raz nawet chciałem wołać Kuczerską, by je stąd zabrała. Żal mi jednak było ją fatygować, a sam nie miałem odwagi. W rezultacie nieszczęsne krzesło zostało.

Chociaż mieszkałem u obcych czułem się tu zupełnie, jak w domu rodzinnym. Kuczerska kochała mnie jak własnego syna. Dziwiłem się, jak mogła za kilkanaście złotych miesięcznie, które jej płacił mój ojciec, okazywać mi tyle troskliwości, uczucia i serca? A jednak Kuczerska czyniła to z całym poświęceniem, jak matka.

Nieraz wieczorem dochodził mnie odgłos jej kroków na korytarzu. Stawała przed drzwiami, wsłuchując się w mój oddech. Słychać było nawet szept jej modlitwy. Modliła się za mnie.

Pewnego dnia pogoda była wstrętna. Przez okna sączył się cień i wicher gwizdał w konarach drzew. Na szybach rozbryzgiwały się krople deszczu. Do pokoju weszła cicho Kuczerska.

Podbiegłem ucałować jej poczciwe dłonie. Pogładziła mnie po włosach i zbliżyła się do stołu. Usiadła na krześle, które prawie zawsze stało puste. Wzrok jej spoczął na cerowanej serwecie. Przesunęła dłonią po delikatnej materii.

— Stara ona, lecz zawsze cenna, chociaż czas wyrył już na niej swe piętno. Pamiątka pozostanie zawsze relikwią i żywym wspomnieniem.

Zamilkła i oczy utkwiła we mnie. Czułem na sobie jej wzrok gorący i przenikliwy. Patrzała długo, zda się skamieniała w tej pozie.

— Coś z nią jest — pomyślałem — lecz co? Czy przypomniałem jej nagle kogoś? Prawda, że jestem podobny do... Chyba nie przypominam jej mego ojca? A może właśnie... Cień podejrzenia padł na całą tę sprawę. Trzeba badać dalej.

— Pani otrzymała ten obrus w prezencie? — spytałem, wskazując na stół?

Na usta wywołała radosny uśmiech. Całe jej życie i szczęście było w tym uśmiechu.

— Ten obrus podarował mi twój ojciec, Jerzyku. Pamiętam dobrze jakby to stało się dziś. Byliśmy wtedy młodzi i życie uśmiechało się do nas. Twój ojciec kochał mnie bardzo i ubiegał się o moją rękę. Los jednak pokierował inaczej — rozdzielił nas. Ha, trudno...

W oczach Kuczerskiej zaperliły się duże łzy, jak krople deszczu na szybach okien.

KONIEC.

●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●

K R Z Y Ż   M A G I C Z N Y

pod S. W.

			A	A	A			
			A	A	A			
			C	C	C			
E	E	E	E	E	H	H	I	I
J	J	K	K	N	N	O	O	O
O	Ó	Ó	R	R	R	R	S	S
			U	W	W			
			W	W	W			
			W	W	W			

Litery podane w krzyżu, uporządkować tak, aby otrzymać trzy wyrazy jednakowo czytane poziomo i pionowo. Znaczenie tych wyrazów — to trzy miasta polskie.

B I L E T Y   W I Z Y T O W E

 uł. W. M. Łysinin

N. I. Zamiarek

L. Rzeka

Kat. Rzepa

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, dnia 23-go kwietnia b. r.

Trafne rozwiązanie zadań z nr. 13 „Moich Powieści": L o g o g r y f   W i e l k a n o c n y: 1) Kowel, 2) Czersk, 3) Kosów, 4) Środa. 5) Załuż, 6) Kłeck, 7) Rogów, 8) Płock, 9) Spała, 10) Wilno, 11) Zelwa, 12) Wiele, 13) Tulce, 14) Zduny, 15) Rajca, 16) Ujazd. Całość: *Wesołego Alleluja!* Z a g a d k a: *Wiosna.*

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Filomena Włodarska — Poznań, Aniela Kotakówna — Poznań, Witold Czerniakowski — Warszawa, Paulina Wierciakówna — Kołobrzeg, Anicet Wielchurski — Częstochowa, Donata Pawlakówna — Poznań, Józefa Rzymanowska — Kraków, „Wu-es".

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Paulinie Wierciakównie z Kołobrzegu i Witoldowi Czerniakowskiemu z Warszawy.

Rozwiązanie zadań z nr. 14 „Moich Powieści: U z u p e ł n i a n k a: 1) Wampir, 2) Owambo 3) Kowale, 4) Słowak, 5) Zabawa. D o m y ś a n k a: *Kto miłości nie zna, ten żyje szczęśliwy i noc ma spokojną i dzień nietęskliwy.*"

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Łucja Lecka — Bydgoszcz, Marian Tomaszewski — Koźmin, Anicet Wielchurski — Częstochowa, Kazimiera Mądrawska — Rosko, „Broneczka", Alojzy Maburał — Gdynia, Zofia Świtalska — Żnin, „Dumny Lew", Jadwiga Mądrawska — Rosko, Eleonora Nowakówna — Chełmża, „Fleur". Stefania Łaganowska — Dzierżążno, Karol Later — Widawa.

Nagrody otrzymali pp.: Kazimiera Mądrawska z Roska i Anicet Wielchurski z Częstochowy.

— zbyt wiele zaszczytu dla skromnej mej działalności.

— Czy pan mnie zna? — spytał książę zdziwiony.

— Cały Wiedeń i pół Austrii zna dostojnego księcia Iffalwiego — zapewniał Zwirner z patosem.

Kłamał bezczelnie, bo nie znał księcia wcale, tylko po bogatej liberii „grooma" czekającego na koczyku przed bramą poznał herb książąt Iffalwich i przypuszczał, że gość jego będzie samym księciem, mimo, że się w tym przypuszczeniu łatwo mógł zawieść.

Ale chytrość jego udała się, a grube jego pochlebstwo zrobiło na próżnym księciu dobre wrażenie i dlatego z większym już zaufaniem zbliżył się do tego człowieka.

— Chciałbym pana poprosić o pomoc w bardzo delikatnej sprawie familijnej — zaczął Iffalwi, niby od niechcenia, kołysząc się na krześle.

Zwirner, który stał z uszanowaniem przed gościem, zapewniał go o swej gotowości i gorliwości.

— Żona moja uszła tej nocy potajemnie z willi swej Ober - Weidlingen — informował go książę — niech więc pan zaraz rozpocznie poszukiwania i wynajdzie dokąd ona się udała i gdzie się ukryła. Od służby będzie się pan mógł dowiedzieć o wszystkim, co panu jest potrzebne.

— Pewnie, pewnie jaśnie panie — odpowiedział ajent — nie spocznę pierwej, aż nie wynajdę księżnej pani. Proszę mi jednak darować, że zadam jeszcze jedno pytanie, a mianowicie, jak się mam znaleźć wobec księżnej, gdy ją znajdę, w co wcale nie wątpię. Czy mam ją sprowadzić napowrót do Ober - Weidlingen.

— Możesz pan i tak zrobić — odparł książę — wolno też panu niepokoić trochę księżnę.

Życzę sobie nawet, aby ją pan dręczył i maltretował, tylko musisz pan mieć baczne oko, aby księżna nie popełniła samobójstwa. Tak egzaltowane kobiety są do wszystkiego zdolne, a ja zanadto jestem czułym małżonkiem, abym chciał tak prędko owdowieć.

— Rozumiem zupełnie jaśnie pana — rzekł, śmiejąc się — i będę się skrupulatnie trzymał jego rozkazów. Udaję się natychmiast do Ober - Weidlingen, ale rozumie się, nie jako tajny ajent, bo w tej roli mało bym zdziałał. Ludzie baliby się mnie jak ognia piekielnego! Najlepiej przebiorę się za domokrążcę, który zazwyczaj wypytuje się o nowinki dzienne i w ten sposób dowiem się szybko tego, czego mi potrzeba.

— Wydaje mi się pan bardzo sprytnym człowiekiem — rzekł książę zadowolony. — Polegam zupełnie na panu i raz jeszcze panu przypominam, aby nie żywił pan żadnych niepotrzebnych względów dla księżnej!

To rzekłszy, Iffalwi oddalił się, a zadowolony ajent odprowadził go aż do powozu. Sprawiało to księciu pewną ulgę, że pierwsze kroki za pogonią żony były już poczynione.

Sądził, że Zwirner był jedynym człowiekiem do wykonania jego planów i pozostawił mu zupełną swobodę.



Powyższe zdjęcie przedstawia część portu na wyspie Honk-hong, którą Anglia postanowiła użyć jako bazę sił morskich i powietrznych.

Po załatwieniu tej sprawy, książę namyślił się, co teraz począć.

Każdy inny na jego miejscu musiałby wypocząć po tak burzliwej nocy, ale nadzwyczajne siły księcia i chęć używania nie wyczerpały się tym przejściem.

— Pójdę do Grety! — pomyślał — zaniedbywałem ją wprawdzie bardzo w ostatnich tygodniach, ale pięknym prezentem rozbroję ją napewno.

Czego to ona sobie życzyła? Czy garnitur z ametystów czy też z szafirów? Wezmę jeden i drugi, a ona potem może zbędne klejnoty sama spieniężyć.

Książę zawrócił na Ringstrasse i zatrzymał się przed eleganckim sklepem bizuteryjnym. Schodząc z powozu, rzucił lejce groomowi i rozkazał krótko:

— Jedź do domu, nie potrzebuję cię więcej!

John nie dał sobie tego dwa razy powtarzać, bo był bardzo uradowany, że przepowiednie jego co do złamania nóg nie spełniły się.

Książę tymczasem wybrał jeden bardzo gustowny garnitur z ametystów, drugi z szafirów i zapłacił nie zważając zupełnie na cenę.

Później wsiadł do dorożki i kazał się zawieźć na Schönbrunerstrasse. Gdy przejeżdżał obok domu, w którym po raz pierwszy zobaczył Hortensję, twarz jego spochmurniała.

— Ten mały szkrab! — mruknął gniewnie. — Jej istnienie jest tylko plamą na moim honorze! O, gdybym jej lepiej nigdy nie zobaczył!

Przed bramą domu, w którym mieszkała Greta, wysiadł książę już zupełnie spokojny, zapłacił dorożkarzowi i wszedł po brudnych, stromych schodach, aż do brzwi Grety, które otworzył bez pukania.

Nie spodziewano się tu jego wizyty, bo kosztowne, ale bardzo już zużyte meble stały w okropnym nieporządku.

Stara i brzydka kobieta w niemożliwie brudnym fartuszku i czepku krzątała się w wydeptanych pantoflach. i sprzątała gruntownie.

Młoda jakaś osoba stała w gorsecie i w halce wątpliwej białości przed toaletą nakładając sobie różową szminkę na twarz.

Obie wydały głośny okrzyk przerażenia, gdy zobaczyły księcia, a młoda dziewczyna z przed lustra uciekła do sąsiedniej izdebki.

— Jezus, Maria, Józefie święty! — krzyczała stara kobieta — książę pan we własnej osobie! Czy mogę prosić, aby jaśnie pan usiadł?

Brudnym fartuszkiem wytarła krzesło i podała je księciu zapewniając, że Greta zaraz przyjdzie, a uciekła tylko dlatego, że była w negliżu.

— Idź Gramlowa — rzekł książę do starej — i powiedz Grecie, żeby przyszła tak jak jest, gdyż przyniosłem jej coś pięknego.

Pani Gramel, która była panią do towarzystwa Grety, a przy tym załatwiała funkcje pokojówki i kucharki, chciała właśnie spełnić rozkaz księcia, gdy w tej chwili dał się słyszeć głos Grety:

— Gramlowa! Czy nie słyszysz? Przynieś mi zaraz moją niebieską suknię dromaderze!

Ciąg dalszy w nast. numerze.

ADAM CZEKALSKI

5)

Sen o zemście

OPOWIEŚĆ STAROPOLSKA

O, bo pan starosta wciąż jeszcze zbyt bardzo kochał, aby nie przebaczyć! Prawdziwa miłość jest wszak zdolna do największych ofiar i poświęceń.

Lecz w takich chwilach słabości odzywały się w nim: duma i godność osobista i one to wstrzymywały go przed pójściem do niewiernej.

W takim melancholicznym i smutnym nastroju zastali go bracia: Stanisław, generał adiutant i Michał, starosta domaski.

Wiadomości, które ich doszły, boć plotka ma nader szybkie nogi, wprawdzie mętne i niejasne o zajściu w Opsie, spowodowały ich do przyjazdu do brata, aby z pierwszych i wiarogodnych ust dowiedzieć się prawdy i jeśli zajdzie potrzeba służyć radą i pomocą.

Zdrada pani Jadwigi nie była niczem nadzwyczajnem, albowiem rozwiązłość obyczajów w epoce saskiej, której dwór królewski hołdował na pierwszym miejscu, na ogół bardzo zdradom takim sprzyjała. Lecz tu chodziło o Ciechanowieckich, tu ugodzono w honor nader starego i poważnego rodu. Wolno było panu staroście opeskiemu czy panu generałowi zrywać kwiaty dziewictwa w innych domach, uprawiać tak bardzo rozpowszechniony sport uwodzicielski w tym okresie, lecz innym wara od domu Ciechanowieckich. Tu już nie sam starosta opeski, ale cały ród, cały klan został znieważonym.

Bracia wysłuchali opowiadania starosty opeskiego z uwagą i na razie nic nie postanowili, zostawiając sobie decyzję na później i czas do namysłu i zastanowienia. Sprawa cała, w ich mniemaniu, przestawała być prywatną, a stawała się publiczną: tu już rozpoczynała się walka Familii z frakcją radziwiłłowską. Pani Jadwiga nieopatrznie zerwała pokój, który zawarto pod auspicjami welonów i mirtów, a który mniemano być trwałym.

Na koniec braterskich narad wsunął się Ksawerek. Powitał braci z należnym szacunkiem i zapytał pułkownika, zaliby mu nie pozwolił bułanka, chciałby bowiem nazajutrz odwiedzić w Brasławiu przyjaciół, którzy podobnie jak on, na wakacje świąteczne do rodziców przybyli.

Pan Jan, dla którego taka wyprawa Ksawerka była obojętną, a nic złego dla siebie nie mógł nawet przypuścić, odrzekł, iż owszem, nie wzbrania.

— Jeno mi konia za bardzo nie shasaj — dodał — bo to jeszcze młode i na trudy nie wytrzymałe, a do Brasławia obkładane trzy mile.

Ksawerek podziękował i z łuną radości pobiegł do stajen, aby bułanka kazać dobrze napaść i oporządzić, bo jutro skoro świt w daleką drogę wyruszy, a następnie pomknął pod okno nadobnego zjawiska, by je uspokoić, iż sprawy układają się jak najpomyślniej.



Słynne akrobatki cyrkowe siostry Long pokazują swe sztuczki na arenie cyrkowej

VIII.

WYPRAWA NA TYRANA

Pismem córki przejął się mocno graf Strutyński i gniewem takim zapłonął, iż gotów był choćby do natychmiastowego najazdu na gniazdo tyrana. Pohamował się jednak i postanowił działać bez zwłoki, aby jedynaczkę przed tyranem bronić i z niewoli haniebnej wyrwać. Pchnął tedy zaraz umyślnego do pana kasztelana brzeskiego z pismem, w którym prosił o przybycie nazajutrz do Opsy w sprawach niezmiernie ważnych, następnie skrzyknął swoją zwykłą kompanię frakcyjną i co znaczniejszych sąsiadów - posesjonatów i nazajutrz skoro świt wyruszyła liczna kompania butnie i dworno w stronę Opsy.

Ksawerek, który zaczynał mieć pewne niejasne przeczucia, że złą przysługę wyświadczył bratu, roztropnie pozostał w Brasławiu u przyjaciela, obiecując sobie wrócić do domu dopiero za dwa dni, a do tego czasu pewnie tam cała ta burza przeminie, bo przewidywał on burzę, widząc wyjazd kompanii Strutyńskiego i dowiedziawszy się po niewczasie w Brasławiu, o co rzecz idzie.

Po drodze, na gościńcu, graf Strutyński zetknął się z panem kasztelanem brzeskim Abramowiczem, a przesiadłszy się do jego karocy dla większej wygody w rozmowie, opowiedział zajście, dla którego pozwolił sobie trudzić sędziwego pana.

— Z prawdziwym bólem wyznać muszę waszej miłości — mówił graf — iż od czasu już dochodziły mnie wieści niepokojące o postępowaniu pana starosty opeskiego. Toż on córkę moją stale ograniczał w swobodzie, na żaden prawie krok jej nie zezwalając, a ostatnio, kiedy do Wiłkomierza wyjeżdżał, na klucz w komnacie ją zamknął i straż nad komnatą staremu, nieużytemu słudze powierzył, który gorzej Tatarzyna z nią się obchodził i dopiero przybycie pana Stanisława Rudominy Dusiatyckiego uwolniło biedną męczennicę tyranii mężowskiej spod klucza. Lecz w końcu do czego oto doszło: przejazdem bawiąc w tych stronach wspomniany już pan Rudomina, zajechał był do Opsy. Notabene miał on tam interes do samego starosty. I co wasza miłość powiesz? Ciechanowiecki, powróciwszy do domu, ni z tego ni owego, pana Rudominę podstępnie napadł i na drobny mak posiekał, że nieszczęsny jak martwy zezwłok długo w ordynie starościńskiej leżał, poczem wierni słudzy z narażeniem życia wyrwali go owemu smokowi opeskiemu z gardła i do Brasławia uwieźli. Córkę zaś moją, nieszczęsną ofiarę tyranii mężowskiej, w komnacie uwięził i dotąd tam trzyma.

Kasztelan szczerze był zmartwiony tym wszystkim, ale znając dobrze pana Jana, nie bardzo chciał wierzyć w takie jego postępowanie. Dlatego to wystąpił z obroną siostrzana, mówiąc:

— Audiate et altera pars — należy wysłuchać i drugiej strony, mości grafie. Jak tam w rzeczy samej było, nie wiemy tego ani ty ani ja. Wstrzymajmyż się tedy z sądem, dokąd nie wysłuchamy obu stron.

— Ach! Czyż wasza miłość możesz nawet przypuścić, aby córka moja, ten anioł cnoty i dobroci — zdolna była do popełnienia jakiejkolwiek rzeczy niewłaściwej? Wszakże znasz ją, panie kasztelanie, tak samo dobrze jako ja, jej rodzic.

— Tego nie neguję... Ale widzisz, mości grafie, każda rzecz miewa zazwyczaj dwie strony, jako każdy medalion. A czyż widziałeś kiedy medolion, który po obu swoich stronach byłby jednaki?

— Słusznie! Ale czyż jedna strona medalionu nie bywa zakryta?

— Należy ją przeto odsłonić i przyjrzeć jej się. Miej-że, mopanku, cierpliwość, dopóki nie znajdziemy się na miejscu, a owo — i Opsę już widać.

Graf nie oponował już więcej, ale przesiadłszy się do swojej karocy — pojechał dalej w milczeniu.

Butnie i buńczucznie zajechano przed pałacyk nad jeziorem. Pan kasztelan był zmartwiony, graf Strutyński z szyderczym uśmiechem na ustach, głośny, pewny siebie, otoczony liczną świtą.

Na progu pałacyku tylko służba starościńska powitała gości, no i psy wylegujące się w słońcu przed gankiem. Ani gospodarz, ani nikt ze znaczniejszych mieszkańców nie wyszedł naprzeciw przybyłym.

Lecz nie zrażony tym graf Strutyński kazał oznajmić się JW staroście i wszedł do dużej i widnej sali rycerskiej, pełnej portretów przodków Ciechanowieckich w ciężkich zbrojach, o marsowych minach. Z portretów tych spoglądali dawno pomarli przodkowie rycerni i dawno pomarłe prababki, pojąć nie mogąc, dlaczego dziwni ci goście nie zostali powitani przez nikogo z gospodarzy. Czyżby starodawna gościnność Ciechanowieckich umarła już?

A goście ci, nie zajmując miejsc, w pozycjach stojących, czekali na pojawienie się tyrana.

Jakoż wyszedł on w towarzystwie swych dwóch braci, jak on rosłych, jak on junackich i paru przyjaciół i klien-

tów domu. Stanęli naprzeciw siebie dumni, groźni, wszyscy z dłońmi na rękojeściach szabel.

Pan kasztelan brzeski, już i tak wiekiem przygarbiony, starał się jak gdyby jeszcze bardziej skurczyć, zmniejszyć, stać niewidocznym.

Przez moment panowało milczenie. Oba obozy mierzyły się złowrogo oczami, jakby sondując się nawzajem. Uwagi teścia nie uszło, że pułkownik jest blady i mocno zmizerowany, oczy ma podkrążone czarnymi obwódkami, zapewne z bezsenności, policzki zapadłe. Ale widoczna ta mizeria zięcia bynajmniej nie wzruszyła grafa Strutyńskiego, a przeciwnie, widok tyrana krew w nim wzburzył i gniew podsycił. Więc wysunąwszy się nieco naprzód z grona swych kompanionów, wyrzekł na pół gniewnym, na pół zbolałym głosem:

— Jakież to zamorskie obyczaje mości starosto tu wprowadzasz? Więzić niewinną niewiastę? Mordować w biały dzień niewinnych ludzi?

Zbliżywszy się na długość ręki, Ciechanowiecki rzucił chrapliwym głosem:

— Waść mówisz o gachu swojej córki, o Rudominie? Pociesz się — będzie żył!...

Graf Strutyński odskoczył przezornie, a kompanowie trzasnęli szablami. Poczem płaczliwie zaczął się skarżyć zebranym:

— Zali słyszycie te bluźnierstwa, waszmościowie? Oto mi nagroda za trudy i troski wychowania córy, jak lilia czystej, jak anioł dobrej... Nie dość mu, że sromem okrył dom własny, nie dość, że z małżonki własnej, aniołom równej czystością i dziewiczością — przez swe zaburzenia umysłowe i iście zwierzęcą dziką zazdrość uczynił ofiarę najnieszczęśliwszą w tym szczęśliwym kraju, jeszcze ją ośmiela się znieważać, bluźniąc jak poganin, jak heretyk, jak barbarzyńca dziki bez poloru i ogłady...

Ciechanowiecki blady jak giezło z gniewu i wściekłości, zacisnął dłonie, podsunął się do Strutyńskiego o krok i wyrzekł mocno:

— Zważaj waćpan, żeś w domu moim!

Graf Strutyński cofnął się znowu, kryjąc się za potężne bary Wołoszynowskiego, pana na drewnianym zameczku, lecz nie zmilkł, jeno dalej jął żale swe rozwodzić:

— Zaliż nie dość ci dotychczasowych tortur i znęcań nad niewinnem dziecięciem? Zależ twoja zwierzęca dzika zazdrość nie nasyciła się dotąd zemstą?

— Ojcze!

Okrzyk ten, rzucony rozpacznie od progu, zamknął usta panu Strutyńskiemu i zwrócił powszechną uwagę na wejście, w którym stała ofiara tyranii mężowskiej, lilia czystości, anioł dziewictwa.

Tylko jeden Jan Ciechanowiecki nie był zaskoczony wejściem małżonki do sali rycerskiej. Kiedy bowiem doniesiono mu o przybyciu nieproszonych gości, zrozumiał, iż wytrąci atut z rąk przeciwnika, jeśli zwolni piękną Hedwige spod klucza, to też, zanim zszedł z braćmi na dół do sali rycerskiej, kazał Brezie drzwi odemknąć i zostawić je otworem.



W krajach Zachodniej Europy oraz w Ameryce urządza się t. zw. week-endy, t. j. wycieczki w soboty i niedziele, których celem jest odpoczynek na łonie natury, po całotygodniowej wyczerpującej pracy. Na zdjęciu „przenośny" domek week-endowy.

Pani Jadwiga zrozumiała to w ten sposób, iż albo mąż się odmienił albo stało się coś innego, skoro obdarza ją wolnością. Dokończywszy zatem swej tualety i upiększywszy się w ten sposób, aby na ofiarę tyranii mężowskiej wyglądać, przybrała minę skromną, zbolałą i wolnym krokiem wyszła do sieni. Stary Breza, na którego się natknęła, tym razem nie okazał się tak nieużytym, ale przeciwnie — zapytany — objaśnił ją, iż pan starosta szakinowski, graf Strutyński z kompanią przybył w gościnę. Płonąc radością, pobiegła drobnym truchcikiem do sali rycerskiej.

Weszła na próg, skromnie spuściwszy oczy. Na widok ojca i kompanii, którzy przybyli jej na ratunek, wyciągnęła ramiona i rzuciła ów błagalny okrzyk.

Bledziutka była, bez barwinku, przezroczysta, a białe welony i koronki czyniły z niej rzeczywiście jakąś nieziemską zjawę.

Graf Strutyński, pozbywszy się już lęku na widok groźnej postawy zięcia, podbiegł do córy i porwał ją w ramiona.

— Mości panowie! — zawołał z emfazą, głosem lamentliwym, przepojonym łzami, nie wiedzieć — szczerymi czy udanymi. — Spójrzcie na tę męczennicę! Zali takie dziecię anielskie może uczynić coś złego i ubliżającego czci niewieściej?

Wszystkie oczy utkwiły w postaci pani Jadwigi, pełne współczucia, a potem przeniosły się na Ciechanowieckiego, przezierając go i zastanawiając się zali nie jest on czartem we własnej osobie. Istotnie, w głowach tych wszystkich ludzi nie mieściła się myśl, by kobieta tak piękna, taki anioł biały i jasny mógł już nie popełnić, ale choćby tylko zamierzyć jakibądź czyn zły?

A Jan szedł rozmiłowanym i rozżalonym wzrokiem za nią, spodziewając się, że teraz właśnie nastąpi upragniony moment zgody i pojednania, że zostanie zapomniane wszystko, cokolwiek złem było w ich dotychczasowym życiu, że znowu nastaną dni rozkosznego szczęścia i radości, życia, którym rozebrzmi znowu cichy pałacyk nad drzemiącym jeziorem.

Wpatrywał się w postać żony, tak piękną, tak anielsko białą i jasną i gniew wszelki go odbiegał. Teraz zaczynało mu się wydawać, jemu samemu, choć przecież na własne oczy widział zdradę, że ta anielska postać nie mogła tego uczynić, że to on musiał się przewidzieć, zaślepiony śmiertelną miłością i śmiertelną zazdrością o ten skarb najdroższy.

I gdyby była wyrzekła choć jedno przychylniejsze słowo pojednania, gdyby wykonała choć najmniejszy gest zgody — byłby runął do jej stóp, objął kolana i te stopki małe, dziecinnemi pocałunkami okrył. Byłby przebaczył jej wszystko, zapomniał wszystko za cenę jednego słowa, za cenę jednego gestu pojednania.

Myśl o stracie tego anioła, tak przerażająco pięknego w tej chwili, tak kuszącego, tak pełnego słodyczy, napawała go śmiertelnym lękiem. Więc czekał wciąż, prawie żebrał wzrokiem łaski, przebaczenia, bo w tym momencie zapomniał był już zupełnie o tym, jakoby to on jej miał przebaczyć, jakoby to ona shańbiła, sromem okryła jego nazwisko, jego dom.

Lecz Jadwiga nie okazała najmniejszej chęci do zgody, nie zrobiła najmniejszego gestu pojednania, ale wciąż tuliła się w ramionach rodzicielskich, okazując zgromadzonym, twarz bladą i smutną, a w duszy radowała się i śmiała z uciechy, że oto znowu jest wolna, że oto znowu wrócono ją życiu.

— Mości panowie! — zaczął znowu tokować graf Strutyński. — Sami widzicie, gdzie prawda, gdzie sprawiedliwość. Nie trzeba tłumaczenia, nie trzeba słów, aby zrozumieć kto stroną pokrzywdzoną, a kto krzywdziciel. Mości kasztelanie, czy widzisz teraz waszа miłość, jak wygląda owa druga strona medalionu?

Ale stary kasztelan nie odpowiedział na to wezwanie, jeno próbował stać się jeszcze mniejszym, ukryć za plecami zgromadzonych panów.

— Nic tu już po nas, mości panowie! — perorował dalej graf. — Zbieraj się, dziecko, do domu. Gdy tu nie znalazłaś dla siebie spokojnego miejsca — znajdziesz napowrót tam, gdzie miałaś je dotąd — u rodziców.

Pani Giga oderwała się w końcu od ramienia ojcowskiego i wybiegła, by spakować chociaż niektóre swoje manatki, a gdy znowu wróciła, gotowa do drogi, Jan był przeraźliwie blady, jeno oczy płonęły mu ogniem niesamowitym.

A gdy graf Strutyński wziął córkę pod ramię i postąpił krok ku wyjściu, Jan drgnął i zdawało się, że albo runie przed nią na kolana, albo wbije jej nóż w serce. Ona nawet nie spojrzała na męża. Wsparła się na ramieniu ojca i przeszła obok dumna, obojętna jak obrażona królowa.

Rzucił się ku drzwiom pan starosta opeski, bo mu się zdało, że piekło ma w mózgu i w sercu i nie przeżyje chwili, w której ona odejdzie, ale bracia chwycili go silnymi ramiony, a generał syknął przez zaciśnięte zęby:

— Na Boga — stój, szalony! Czy chcesz do reszty poniżyć się wobec tych ludzi?

— Niech ich pioruny rozbiją! — szarpnął się starosta domawski, — Oby prędzej byli pomarli, zanim ta wilczyca w baraniej skórze weszła w nasz dom!

IX

Polityka i miłość

Po odjeździe żony i teścia, pan starosta opeski zapadł jakby w jakąś chorobę. Leżał całymi dniami w swojej komnacie, albo błąkał się po palacyku, jadła żadnego przyjmować nie chciał i na żadne pytania nie odpowiadał. Obaj bracia starali się za wszelką cenę wyrwać z tego bezwładu, ale długo nie udawało im się to. W końcu postanowili przynajmniej oderwać go od tych miejsc, które przypominały mu żonę. Zaczęli tedy nakłaniać go do wyjazdu do Nieświeża, przypominając obietnicę, jaką dał był w swoim czasie księciu Panie Kochanku, że stawi się na jego wezwanie.

— Nie możesz przecie, mój Janie — przekładał Michał — robić zawodu księciu panu, który domowi naszemu wielce jest przyjazny i siła od niego zależy.

— Książe pan — dodał generał — właśnie przez nas przysyła ci wezwanie, tuszę przeto, iż nie zechcesz wezwania tego nie posłuchać. Czasy idą niespokojne, bo coś na nową elekcję się zanosi, a w takich czasach frakcji każda głowa i każda szabla potrzebna.

I tak długo obaj bracia obligowali nieszczęsnego starostę, aż ten dał się nakłonić i wybrał się wraz z nimi do Nieświeża.

Książe pan, gdy Ciechanowiecki pochylił się do jego kolan, objął go ojcowskim uściskiem i do piersi przycisnął, poczem rzekł smutnie:



78-letnia nauczycielka konnej jazdy w jednym z niemieckich cyrków, pomimo swego podeszłego wieku, wyczynia jeszcze śmiałe sztuki akrobatyczne.

— Oto masz, panie kochanku, oto masz... Jako Piotrowin wyglądasz, jako Łazarz... serce się kraje, patrząc na ciebie mój starosto, panie kochanku. Ale nic — tu u mnie zapomnisz o bólu serca i krzywdy swoje na Familii w dwójnasób odbijesz.

— Nie żyć mi bez pomsty, w. ks. mość — odrzekł starosta zbolałym głosem.

— Tylko silni zwykli brać swą pomstę, a tyś silny i frakcja nasza silna, panie kochanku. Umyślili ci panowie z Familii skaptować cię przy pomocy łożnicy małżeńskiej i dokonali tego... chwilowo. A potem grot zatruty w serce ci wbili, na śmierć skazując. Lecz ja ten grot z serca twego dobędę i truciznę wysączę. Zdrów będziesz, panie kochanku, zdrów na ciele i duszy.

Podziękował pan Jan dobremu panu za łaskawość, przyrzekł sił i zdrowia dla frakcji nie żałować, a wieczorem poszedł na ucztę, aby żal w kielichu utopić.

Uczty u księcia Panie Kochanku bywały szumne i głośne na całą Litwę, a trwały całymi dniami. Setki ludzi: przyjaciół, klientów, plenipotentów i osób zgoła obcych — ciągnęły do Nieświeża jak muchy do miodu, a wszyscy tu mieli swoje zwykłe i stałe miejsca w kole biesiadnym.

Lały się wina i miody strugami, kapele grały nieustannie, a gdy zmęczeni piciem goście walili się bez pamięci pod ławy, służba wynosiła ich dla wytrzeźwienia do dalszych komnat, a wytrzeźwiawszy — znowu wracali za stoły biesiadne.

Czasem znowu książe pan, ku rozweseleniu miłych gości, urządzał widowiska na dziedzińcu zamkowym, zapasy osiłków z chowanymi niedźwiedziami lub łowy głośne i wielkie.

Ale najciekawsze widowiska pokazywał pan Marcin Cieński, regimentarz, który konie przerzucał przez wysoki mur, sztaby żelazne skręcał jak wicie, a dosiadłszy konia w pełnym rynsztunku i uczepiwszy się rękami belki, nogami podnosił go w powietrze. Ten, gdy raz niedźwiedź chowany, usługujący przy stole, nie dość zręcznie się zachował i sos z półmiska na mundur mu wylał — porwał zwierza za kudły i nad głowami biesiadników oknem na dwór go wyrzucił. Postępek ten tak bardzo księciu panu się spodobał, iż Cieńskiego wioską w dożywocie obdarzył.

Bywało też, że podochociwszy dobrze, książe pan zabawiał swoich gości opowiadaniami i dykteryjkami, z których zaśmiewano się do rozpuku. Raz więc opowiadał książe przygodę, jaką miał na polowaniu.

— Przed czterema laty — mówił książe — byłem, panie kochanku, na łowach. Strzelałem razy kilka, wyszły mi wszystkie naboje, aż tu naraz, panie kochanku, wyskakuje duży jeleń i staje bliziutko. Co tu zrobić... był jeszcze nabój prochu, sypię w lufę, a że miałem właśnie wiśnie, bo w upał byłem spragniony, to miast śrutem — pestkami nabiłem. Jak nie zmierzę, panie kochanku, jak nie palnę, aż jeleń podskoczył. Zdawało mi się, że go trafiłem w czoło, ale pewności nie miałem. Wyjechałem potem za granicę, zwiedziłem Węgry, Niemcy, Francję i Włochy i po trzech latach prawie powróciłem do domu.

Że lubię łowy, poszliśmy znowu na jelenie. Stoję w tym samym miejscu i nie długo, panie kochanku, wyskakuje jeleń. Patrzę... poznaję, że to ten sam, com doń strzelił pestkami, bo z samego czoła wyrosła duża wiśnia z pełnymi gałęziami czerwonego owocu...

Tak to, panie kochanku, poznałem swego jelenia, który uszedł zdrowo i buja w moich kniejach.

Szlachta dziwowała się okrutnie, śmiała, ten i ów coś tam rzekł, ale nikt nie śmiał wątpić w prawdziwość opowiadania.

W takim ciągłym zgiełku i harmidrze, na ucztach, biesiadach i zabawach, zapomniał pan starosta opeski na jakiś czas o swoim bólu serdecznym, który o mało o szaleństwo nie był go przyprawił.

Potem rzucił się w wir życia politycznego i zanurzył się w nim powyżej czubków włosów. Gdzie nie mogła poradzić jego wymowa, gdzie nie dało się zerwać, rozpędzić lub choćby przeciągnąć na swoją stronę dla większości niektórych braci szlachty sejmikujących słowami, przemawiały szable i sejmik jednogłośnie opowiadał się za ludźmi księcia Panie Kochanku.

Mając takich wykonawców, jakim był pan Jan Ciechanowiecki, książe Karol trząsł, jeśli nie całą, to w każdym razie bardzo znaczną częścią Litwy, obsadzał liczne urzędy swoimi ludźmi i dopiekał familii co się zmieści.

Ciąg dalszy w nast. numerze.

JADWIGA COURTHS-MAHLER

Ofiary miłości

Powieść

13) **PRZEDRUK WZBRONIONY!**

— Nic cię nie obchodzi i nigdy cię też nie będzie obchodzić. Dlatego właśnie nie mogę wyjść za ciebie.

— Ależ Ewo, zastanów się tylko. Czy za wszelką cenę chcesz stworzyć nową barierę, dzielącą nas od szczęścia? Ty nie masz nic wspólnego z kobietą, która dopuściła się wobec ciebie najstraszniejszego przewinienia i wcale się z nią nie potrzebujesz liczyć.

Z piersi Ewy wyrwało się westchnienie podobne do jęku.

— Ale ona liczy się ze mną. Już teraz nie mogę się od niej uwolnić. Pomyśl o swoim uczciwym nazwisku o czekającej cię karierze. Kiedy staniesz na czele wielkiego przedsiębiorstwa, tyle oczu będzie patrzeć na ciebie. Nie śmie ciążyć na tobie żadna plama. A znam moją matkę dostatecznie, by wiedzieć, że pyszniłaby się wszędzie zięciem, tak wpływowym, narzucałaby ci się ustawicznie i stawiała żądania nieuzasadnione... Nie, nie, to byłoby dla mnie męką nie do wytrzymania!

Ukryła twarz w dłoniach, cała jej postać drżała jak w febrze. Bernard wysłuchał spokojnie, pobladła jego twarz przybrała wyraz stanowczości. Delikatnie odjął jej ręce od twarzy, po której spływały ciche łzy.

— Ewo... Ewo... masz istotnie wybitny talent do samoudręki. I sądzisz, że coś takiego mogłoby mnie zniechęcić czy odstraszyć? Dziewczyno, w takim razie nie masz wyobrażenia, czym jesteś dla mnie, jak głęboką i niezłomną jest moja miłość.

Rozpaczliwie zaplatała i rozplatała palce rąk.

— Och, nie męcz mnie dłużej, nie utrudniaj mi mego postanowienia! Czy sądzisz, że tak łatwo wyrzec mi się szczęścia po raz drugi? A jednak nie widzę innego wyjścia. Muszę tak postąpić, a jestem pewna, że kiedyś przyznasz mi słuszność.

Wstał i spojrzał na nią poważnie.

— Nigdy — przenigdy. Widzę tylko, że na razie przekonać cię nie zdołam. Odchodzę więc i pozostawiam ci czas do zastanowienia. Wrócę za miesiąc i powtórzę moją prośbę, zapytam, czy nareszcie położysz kres naszym cierpieniom. Proszę cię, zastanów się raz jeszcze, a dasz mi jedyną odpowiedź, jakiej mi się wolno spodziewać. Twoja matka niech cię nie odstrasza. Znajdę sposób przekonania jej, że będzie dla niej najkorzystniej, jeśli pozostawi cię w spokoju. Błagam, nie upieraj się w tym małostkowym uporze, całkiem niegodnym mojej mądrej, dzielnej Ewuni. Znam już twoją żądzę samoofiary, ale tylko raz musisz wziąć pod uwagę, że ofiara twoja nikomu się już nie przyda, a mnie pozbawi szczęścia, na które czekam tak długo. Wiem, że tylko z tobą mogę osięgnąć nie tylko najwyższe szczęście, ale także pełny rozwój sił duchowych i zdolności. Bez ciebie życie moje pozostanie czymś nad tym — a jeżeli i wtedy znajdziesz w sobie siłę do odprawienia mnie... nie, nie, ty tego nie uczynisz! A teraz, żegnam, ty moja jedyna, ukochana.

Wybiegł z pokoju, nie podejmując dalszej namowy.

A nią owładnął nastrój beznadziejny. W rozterce wewnętrznej nie wiedziała, którą drogę ma wybrać. Bernard zastał wujostwo w jadalni w stanie radosnego oczekiwania. Że zdumieniem spojrzeli na jego bladą, zgnębioną twarz.

— Wracasz sam... i zasępiony? — spytała Maria zaniepokojona. Bernard padł na najbliższe krzesło z tłumionym westchnieniem.

— Nie wiedziałem, że kobieta jest istotnie zagadką, tak trudno do odgadnięcia. Byłem święcie przekonany, że wystarczy mi przyjechać i otworzyć ramiona... Wszak kochamy się od lat... A oto odprawia mnie z kwitkiem.

— Niemożliwe! — wykrzyknęła Maria z niedowierzaniem.

— Ja byłbym powiedział to samo przed godziną. A jednak tak jest — nie chce wyjść za mnie.

— Przecież cię kocha... wiem o tym na pewno — stanowczo oświadczyła Maria.

— Tak, ona temu nie przeczy. Ale posłuchajcie tylko, co sobie wymyśliła, by ponownie skazać mnie na męki.

Powtórzył dokładnie rozmowę z Ewą.

Maria przerywała mu kilkakrotnie okrzykami zniecierpliwienia.

— Ależ, to nie ma sensu! — wykrzyknęła na koniec, gdy zamilkł, opowiedziawszy wszystko. — Zaraz idę i postaram się przemówić jej do rozumu.

Zerwała się i chciała istotnie wykonać swój zamiar. Ale Fryc ujął ją za rękę. Spokojnie, ze skupioną uwagą wysłuchał opowiadania Bernarda. Na twarzy jego pojawił się wyraz zagadkowy, jakby ważył w myśli jaki projekt.

— Mario, proszę cię, zostaw ją narazie w spokoju. Domyślałem się podobnego wyniku, więc nie spadło to na mnie niespodzianie. Znając zapatrywanie Ewy można to było przewidzieć. Bernard powiedział jej wszystko, co powiedzieć należało. Teraz trzeba jej zostawić czas do zastanowienia się w spokoju. Istotnie, zrobisz najlepiej, mój chłopcze, wracając zaraz do Hattenfelde. Gdybyśmy teraz namawiali Ewę do kroku niezgodnego z jej przekonaniem, niewątpliwie potrafilibyśmy narzucić jej naszą opinię zwłaszcza, że miłość prze ją w tym kierunku. Ale wierzaj mi, że takie rozwiązanie miałoby swoje strony ujemne i mogłoby się zemścić na twojem szczęściu. Kobieta jest istotnie zagadką nieodgadnioną, której nasz umysł męski przeniknąć nie zdoła. Tak, tak, moja droga — zwrócił się do Marii — ty również nie stanowisz pod tym względem wyjątku. Przypomnę ci tylko ten dzień, kiedy ni stąd ni zowąd przyszłaś mi wypowiedzieć dalszą pracę w fabryce i zemknąć co rychlej, ponieważ uroiłaś coś sobie, z goła pozbawionego podstawy. Pamiętasz, moja pani? Otóż radzę, pozostawcie Ewie swobodę, niech sama dojdzie do przekonania, że ta cała bariera, odgradzająca ją i ciebie od szczęścia, jest po prostu ścianką z tektury, wyolbrzymioną przez jej fantazję.

— A jeśli nie dojdzie do tego przekonania? — wykrzyknął Bernard wzburzony. — Na Boga, toż ona do najwyższej perfekcji doprowadziła system samoudręki! Po raz drugi poświęca swoje i moje szczęście! W ogóle pojąć nie mogę, jak mogą podobne błahostki, podobne małostkowe urojenia dzielić ludzi od tylu lat złączonych węzłem miłości!

— Kobiety bywają nieraz małostkowe w rzeczach wielkich, a wielkie w małych — nawet najlepsze z nich i najrozsądniejsze. Jestem jednak pewny, że po gruntownej rozwadze Ewa dojdzie do innej konkluzji. Więc głowa do góry, mój stary! Za miesiąc odbędą się zaręczyny — ręczę za to! Proszę, spójrz tylko na moją Marię! Jak chmurnie na mnie patrzy, ponieważ dotknąłem jej honor kobiecy. Ale ona jest jedną z tych mądrych kobiet, które szybko się uspakajają. Zaraz się rozpogodzi i padnie mi w objęcia.

Maria z uśmiechem musiała spełnić tę jego przepowiednię.

— Bernardzie, możesz już być całkiem spokojny. Wuj ma rację. Dostatecznie znam mego tyrana, by wiedzieć, że nigdy nie mówi na wiatr. Jestem też pewna, że już sobie wymyślił jakiś sposób niezawodny, by Ewę przekonać. A tak jak on, nikt inny przekonywać nie potrafi.

Fryc się zaśmiał.

— Mario, stajesz się niebezpiecznie mądrą. Odgadujesz wręcz moje myśli. Odtąd muszę się mieć baczności.

— O, co do tego, to masz słuszność, mój stary. Twoje myśli są dla mnie istotnie otwartą księgą, czytam je z całą łatwością. Wiem też, że tylko dlatego nie pozwalasz mi się rozmówić z Ewą, ponieważ znasz jakieś słówko tajemne, któremu się oprzeć nie zdoła. Rada bym jednak wiedzieć, jaki to jest ten twój klucz czarodziejski do serca naszej Ewy.

Fryc z rozczuleniem pocałował ją w oczy.

— Ty moja jasnowidząca!... Ale na ciebie czas, Bernardzie, jeśli chcesz zdążyć do pociągu, a widzę, że najlepiej będzie, jeśli się teraz ulotnisz na cały miesiąc. Musisz się jednak wymknąć ostrożnie bocznymi ścieżkami, by bębny cię nie przychwyciły. Bo jeśli cię zwęszą na swoim szlaku wojennym, nie ujdzie ci to bezkarnie. Przywiodłyby cię triumfalnie jako jeńca, a zdaje mi się, że dziś nie jesteś usposobiony do tego rodzaju figlów. Więc żegnaj, bądź najlepszej myśli. Wszystko pójdzie dobrze. Bernard uścisnął mu rękę.

— Wuju Frycu, zawsze mnie skutecznie ratowałeś z każdej opresji, ale w tym wypadku nie wiem, czy ci się uda — rzekł zgnębiony.

— Uda się z całą pewnością — z naciskiem odrzekł Herbig.

Jeszcze raz uścisnęli sobie ręce.

W chwilę później Fryc ogrodową ścieżką zmierzał do fabryki. Nagle przystanął obok jednego z krzewów i z uśmiechem przyglądał się akrobatycznym wysiłkom chrabąszcza, który raz po raz wspinał się po źdźble, by raz po raz spadać na powrót.

— Poco on to robi? — myślał. — Czyżby głuptasek z imponującej wyniosłości źdźbła chciał objąć widnokrąg świata? Dlaczego w takim razie nie wspina się po drzewie? Dlaczego?

Wyprostował się i poważnym spojrzeniem pobiegł w dal.

— Od tego pytania muszę się w przyszłości odzwyczaić. Czy owej potwornej nocy nie pytałem również niezliczone razy: Czemu Bóg pozwoli, by w sercu Bettiny zrodził się zamiar tak straszliwy? Czyż nie byłem wtedy jak ten głupi chrząszczyk, usiłujący się wspiąć na szczyt źdźbła? A oto dostałem się na drzewo i mogę patrzeć z góry. Czy widnokrąg mój bardzo się dzięki temu rozszerzył? Rozumiem jednak to „dlaczego". Wiem, że Bettina ową mroczną chwilą swego życia ocaliła przecież szczęście swego syna. Tylko w inny sposób niż zamierzała...

* *
*

W ciągu najbliższych dni nikt nie próbował wpływać na postanowienie Ewy. Herbigowie starali się tylko okazywać jej jeszcze więcej przyjaźni i dobrotliwego zrozumienia.

Wystarczyło na nią spojrzeć, by odgadnąć ciężką walkę wewnętrzną, jaka toczyła się w jej duszy. Całą potęgą uczucia lgnęła do Bernarda, pragnęła go uszczęśliwić i zaznać szczęścia osobistego. A jednak strach ogarniał ją na myśl, że związek z nią mógłby Bernard narazić na niedające się przewidzieć przykrości ze strony Szarlotty. Własna matka zagradzała jej drogę do szczęścia. Czuła, że tej przeszkody nigdy usunąć nie zdoła. Z drugiej strony gorąca jej miłość coraz gwałtowniej domagała się swych praw. Bała się, że po raz drugi nie zdoła się oprzeć prośbom Bernarda. A jeśli ulegnie — nigdy nie zazna obok niego pełnego szczęścia. Stale będzie je przyćmiewał cień, rzucony na jej drogę przez życie matki. A z ustawicznym lękiem w duszy nie potrafi darzyć ukochanego tą pełnią miłości, jakiej się od niej spodziewa. To rozdwojenie wewnętrzne zburzyło doszczętnie pozorny spokój, jaki sobie wywalczyła w ciągu ostatnich dwóch lat. Herbigowie w jej obecności ani słówkiem nie napomykali o Bernardzie, ni o celu jego ostatniej bytności.

W parę dni po jego krótkiej wizycie Fryc ozwał się do żony, gdy sami byli w pokoju:

— Jutro rano jadę do Bettiny. Albo ją przywiozę z sobą, albo musi mi przyrzec, że przyjedzie do nas w najbliższych dniach.

Maria podniosła zdumione oczy i spotkała się z poważnym zadumanym spojrzeniem męża.

— Dobrze zrobisz — rzekła cicho, nie pytając o powód tej nagłej decyzji.

Przygarnął ją do siebie i czule objął ramieniem.

— Nie pytasz o powód?

Uśmiechnęła się subtelnie.

— Ja także posiadam swoją dumę i nie chcę, byś mnie posądził o małostkową ciekawość. W ciągu lat odzwyczaiłam się pytać o Bettinę. Wiem, że pewna komnata twego serca jest dla mnie zamknięta, a wstęp do niej wzbroniony. Trzeba by ją odemknąć złotym kluczykiem Sinobrodego, a ja go gwałtem zdobywać nie chcę. Pamiętam, że jako dziecko byłam zawsze oburzona na te ciekawe kobiety, że nie potrafiły się wyrzec owego złotego kluczyka i Sinobrodego zmusić do lepszego mniemania o kobietach.

— Ty moja mądra, kochana! Ale na szczęście ja nie jestem Sinobrodym. Powiem ci też otwarcie, że chcę sprowadzić Bettinę, by ona pomówiła z Ewą. Jedynie miłość matki znajdzie słowa odpowiednie i zdoła nie tylko rozproszyć skrupuły Ewy, lecz tchnąć w nią też wiarę w szczęście, którego żadne cienie zaćmić nie potrafią. Ewa musi uwierzyć w to szczęście, inaczej nie zdoła też w całej pełni uszczęśliwić Bernarda...

Po śmierci swej synowej siostra Bettina wróciła do klasztoru. Przyjęto ją z radością, gdyż w ciągu jej nieobecności nieraz odczuwano brak pielęgniarki, pracującej z tak bezwzględnym poświęceniem.

Bernard pragnął zatrzymać matkę w willi „Anna" i niejednokrotnie prosił i nalegał, by porzuciła klasztor, lecz matka po raz pierwszy nie skłoniła się do jego życzenia.

— Odwykłam od świata i ludzi, a tobie jestem znacznie mniej potrzebna, niż rozmaitym biedakom, którym mogę przynieść ulgę. Pozwól mi wytrwać w pracy, którą ukochałem i bez której nie potrafiłabym się już obejść — prosiła.

Wobec tego musiał zgodzić się na jej wyjazd.

A ona znów wróciła do dawnych ciężkich obowiązków i wywiązywała się z nich jak żadna z sióstr. Bernard odwiedzał ją co niedzielę, a od czasu do czasu przyjeżdżał także Fryc. Każdorazowe przybycie brata sprawiało jej głęboką radość.

I tego dnia zerwała się szybko i z rozpogodzoną twarzą pobiegła do rozmównicy, gdy jej powiedziano, że przybył Fryc Herbig. Przywitała go z pewnego rodzaju pokorną tkliwością, z jaką się teraz stale odnosiła do brata.

— Nie spodziewałam się nawet, że odwiedzisz mnie tak rychło. Sądziłam, że Bernard bawi u was? Wspominał mi, że się wybiera do was.

Fryc usadowił ją obok siebie na sofie.

— Był u nas, ale odjechał szybko, jakkolwiek pierwotnie miał zamiar zabawić kilka dni.

— Co się stało? Chyba nic przykrego? — spytała zaniepokojona.

— Na to pytanie nie mogę odpowiedzieć krótko i zwięźle. W każdym razie musiałbym ci wyjaśnić pewne nieznane ci szczegóły z przeszłości. Czy masz dla mnie dłuższą chwilę wolną?

— Jestem wolna do samego wieczora. Proszę cię też, powiedz mi szybko, o co chodzi, bo czuję, że grozi Bernardowi coś niedobrego.

W oczach jej zamigotał trwożny niepokój.

— Dowiesz się wszystkiego, Bettino.

Westchnęła.

— Czuję, że nad moim synem nowe zawisło nieszczęście — szepnęła.

— Nie mylisz się, Bettino. Tylko że w twojej jest mocy nieszczęście to usunąć i zmienić je w szczęście i radość.

Szybko ujęła go za rękę.

— Więc mów! Co mam uczynić dla niego?

Objął ją ramieniem i głęboko spojrzał w oczy.

— Zaraz usłyszysz. Wszak znasz Ewę Grabow?

— Tak. Tyle o niej słyszałam od was, a raz się też z nią zetknęłam podczas choroby biednej Gabi.

— Wszak ci się podobała?

— Bardzo. Ale co to ma znaczyć?

— Bettino, widzę, że jakkolwiek uchodzisz za najlepszą pielęgniarkę, to jednak nie potrafiłaś wyrobić w sobie dostatecznej cierpliwości. Otóż posłuchaj: Ewa jest pierwszą i jedyną miłością Bernarda, i chciałby się z nią teraz ożenić.

Spojrzała na niego osłupiała.

— To niemożliwe. Bernard kochał gorąco swoją żonę.

Potrząsnął głową i zaskoczonej tak niespodzianą wiadomością opowiedział szczegółowo, jak się stało, że Gabi została żoną Bernarda.

— Przed paru dniami przyjechał do nas, by nareszcie poprosić o rękę Ewy, którą kocha od szeregu lat — zakończył swe opowiadanie.

— I co? — spytała bez tchu, zaskoczona tym wszystkim.

— Ewa mu odmówiła.

— Już go nie kocha?

— Kocha go jak zawsze i jestem pewny, że nigdy go kochać nie przestanie.

— Więc czemu, czemu odmówiła?

— Wszak słyszałaś od nas, że matka Ewy jest kobietą bez poczucia czci i obowiązku, że swego czasu zrujnowała męża, a następnie porzuciła jego i dziecko. Wiesz także, że przed dwoma laty odsiadywała karę więzienną?

Twarz Bettiny okryła się śmiertelną bladością.

— Wiem o tym wszystkim — wykrztusiła, wzburzona do głębi.

Fryc skinął głową potakująco.

— Otóż posłuchaj. Ewa wzbrania się wyjść za Bernarda, gdyż się obawia, że nazwisko jej, zhańbione przez matkę, mogłoby rzucić cień na jego dobrą sławę. Nie ma po prostu odwagi sięgnąć po szczęście, gdyż widzi je zagrożone przez winę matki. Woli raczej siebie i Bernarda skazać ponownie na rezygnację. Chłopiec jest zrozpaczony, ponieważ kocha ją całą duszą i żądną miarą nie chce się jej wyrzec. Zostawił jej miesiąc czasu do namysłu, po czym ponowi swoją prośbę. A ona tymczasem trawi się w walce wewnętrznej. Serce ciągnie ją ku niemu, z drugiej strony wstrzymuje ją strach, by domu jego nie okryć hańbą i nie sprowadzić nań nieszczęścia. Sądzę, że ostatecznie nie zdoła mu się oprzeć i wyjdzie za niego. Ale szczęśliwą być nie może pod ciągłą grozą lęku, a w tym stanie rozterki duchowej nie będzie też mogła dać jemu pełnego szczęścia. Cień ustawiczny będzie przyćmiewał życie tych dwojga tak nam bliskich i drogich ludzi... Tak, Bettino — teraz już wiesz wszystko.

Podniosła ku niemu twarz, na którą wystąpiły gorączkowe wypieki i spojrzała nań zamglonymi oczyma.

— Więc zwracasz się do mnie jako do jedynej, która może tu pomóc? — spytała bezdźwięcznie.

Spojrzał na nią poważnie i dobrotliwie.

— Tak, Bettino, teraz nadeszła twoja godzina. Wielkodusznym czynem możesz uratować szczęście syna.

Przymknęła oczy i z głową wspartą na ręku, stała przez chwilę nieruchoma.

— Żądasz, bym Bernardowi wyznała swoją winę? Frycu, ty to zrób za mnie, nie byłabym w stanie ujrzeć w oczach mego dziecka grozy i przerażenia.

Ujął ją za rękę.

— Nie, Bettino — tego bym nie żądał. Byłoby to nazbyt okrutne, przy tym ani w przybliżeniu tak skuteczne jak to, co obmyśliłem.

Podniosła głowę, a twarz jej ożywiła się błyskiem nadziei.

— Mów, wszystko inne będzie łatwiejsze do spełnienia. Co mam zrobić?

— Wyznać przed drugim człowiekiem, co stało się owej nocy. A ja ręczę za tego człowieka, że raczej umrze, niżby zdradził twoje zaufanie.

Bettina zerwała się z krzesła. Oczy jej płonęły.

— Tak, teraz rozumiem. Ewa... Ewa musi się o tym dowiedzieć. O Boże, teraz przynajmniej rozumiem, dlaczego musiałam ulec owym złym mocom. Tak, teraz to rozumiem. Bracie, jakże ci dziękuję, że wskazujesz mi drogę przyczynienia się jednak do szczęścia mego syna. Zrobię to, wezmę na siebie tę mękę upokorzenia. To rozwieje wszystkie jej skrupuły, gdy jej powiem: Cokolwiek zrobiła twoja matka, ja dopuściłam się występku stokroć gorszego, jakkolwiek dobre losy ustrzegły mnie od jego następstw. Bez wszelkich skrupułów możesz zostać żoną mojego syna... Frycu, sądzę, że to rozproszy jej wątpliwości? — dodała po chwilowej pauzie.

Gorąco uścisnął jej rękę.

— Tak, siostro, tak to sobie wyobrażałem. A wyznanie twoje będzie jeszcze skuteczniejsze, jeśli dodasz: Jeśli i teraz nie masz odwagi do szczęścia, to pójdę do Bernarda i jemu powtórzę to wyznanie. Będzie bardzo nieszczęśliwy, gdy dowie się o winie matki, którą otaczał zawsze pełnym szacunkiem, ale jeszcze nieszczęśliwszym byłby bez ciebie... Wierzaj mi Bettino, że Ewa za nic na świecie nie dopuści do tego twojego wyznania. Przeciwnie, będzie dumna i szczęśliwa, że zaoszczędzi Bernardowi przykrości. To rozwieje jej małostkowe skrupuły.

Bettina patrzyła przed siebie, a oczy jej promieniały głębokim wzruszeniem.

Fryc objął ją ramieniem i dobrotliwie przytulił do piersi.

— Tak siostro, los wiedzie nas rozmaitymi drogami. Teraz wiesz, dlaczego musiałaś się potknąć. Za wszelką cenę postanowiłaś wymusić na losie szczęście dla syna. Oto dopięłaś swego — możesz dla niego uczynić to, czego nikt zrobić nie potrafi.

Z głową na jego piersi łkała cicho.

— Bracie, kochany drogi bracie, odpłacasz dobrem za złe. Słowa twoje są mi rozgrzeszeniem. Dzięki, dzięki stokrotne!... A teraz pozwól, że oddalę się na chwilę. Poproszę przełożoną o zwolnienie mnie na dwa dni — od razu pojadę z tobą, jeśli dostanę urlop.

* *
*

Maria w bramie ogrodu czekała na zapowiedzianego gościa. Fryc zadepeszował jej, że przyjeżdża z Bettiną. Usłyszawszy turkot powozu podbiegła ku furtce i obydwie kobiety padły sobie w objęcia.

— Bettino!

— Mario!

Maria ujęła ją pod ramię i serdecznie ściskając jej rękę wprowadziła do domu, którego progu Bettina nie przekroczyła od tylu lat. Dreszcz nią wstrząsnął, gdy błyskawicznie uprzytomniła sobie chwilę, kiedy została skazana na opuszczenie tego domu. Nie wiedząc, co stało się owej nocy, Maria przeczuwała jednak, co się musi dziać w jej duszy. Obejmując pieszczotliwie jej ramię, wprowadziła drżącą kobietę do gościnnego pokoju. Od razu wpadły dzieci i wśród radosnych okrzyków odnowiły znajomość z ciocią Bettiną. Ewa stojąc na uboczu, przyglądała się wzruszona matce Bernarda. Bettina zauważyła jej tęskne spojrzenie i podeszła ku niej.

— Panno Ewo, czy mnie pani nie poznaje? — spytała miękko, wyciągając rękę.

Ewa z szacunkiem ucałowała ją w rękę.

(Dokończenie nastąpi.)

Najciekawsze audycje Polskiego Radia w Warszawie

Niedziela, dnia 18 kwietnia 1937 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa z kościoła Św. Krzyża 12.03 Koncert rozrywkowy 14.30 Orkiestra mandolinistów z Radomia 15.15 Audycja dla wsi 16.10 Muzyka lekka 16.30 „Lajkonik" — suita poetycko-muzyczna 17.00 Koncert symfoniczny z Łodzi 19.20 Koncert rozrywkowy 21.00 Znaleziona melodia — humoreska 21.20 Recital fortepianowy Beveridge Webstera 22.00 „Echa leśne" — audycja muzyczna 22.30 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, dnia 19 kwietnia 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Walce J. Straussa i E. Waldteufla 12.30 „Od warsztatu do warsztatu" — audycja poświęcona rzemiosłu stolarskiemu 15.15 Piosenki holenderskie 16.30 Polska Kapela Ludowa Dzierżanowskiego 17.00 Organizacja liceów pedagogicznych — odczyt 17.15 Koncert solistów 18.20 Muzyka lekka 19.00 Audycja żołnierska 19.30 „Stare przeboje" — koncert 21.00 „Chopin jako pisarz" — wieczór literacki 21.30 „Odgłosy Wileńszczyzny" — „Białorusini" 22.00 Koncert 23.00 Muzyka taneczna.

Wtorek, dnia 20 kwietnia 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Muzyka węgierska — płyty 15.15 Lekki koncert popołudniowy 16.30 Koncert jugosłowiańskiego chóru 17.00 „Dni powszednie państwa Kowalskich" — powieść mówiona 17.15 Koncert kameralny 17.50 „Dziennik feministyczny" — monolog Romany Dalborowej 18.20 Muzyka lekka 19.00 „Czy młodzież współczesna jest lepsza czy gorsza od dawnej" — dyskusja 19.20 W kolorowym świecie — reportaż muzyczny 20.15 Koncert symfoniczny 22.30 „Emil Verhaeren" — kwadrans poetycki 22.45 Muzyka taneczna.

Środa, dnia 21 kwietnia 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Mała Orkiestra P. R. 15.15 Trio salonowe z Polskiego Radia 16.10 „Mała Ziunia" — słuch. dla dzieci starszych 16.30 Orkiestra dęta Związku Rezerwistów 17.15 Koncert solistów 17.45 „Zniechęcenie i radość życia" — Rozmowa z przyjacielem 19.00 „Bal maskowy" — obrazek obyczajowy 19.20 Muzyka operowa — płyty 20.10 Orkiestra Edith Lorand 21.00 Koncert chopinowski w wykonaniu Carlo Zecchi 21.30 Jan Sebasitan Bach — kantata Nr. 211 22.20 Muzyka taneczna.

Czwartek, dnia 22 kwietnia 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Poranek muzyczny dla młodzieży szkół powszechnych „Dawne tańce" 12.03 Muzyka salonowa 12.50 „Jak się zorganizowali we wsi Sadłowic" — pogadanka 15.15 Koncert rozrywkowy 16.20 „Hokus pokus dominikus" — audycja dla dzieci 16.35 Muzyka dla dzieci 17.15 Współczesna polska muzyka kameralna 17.50 „O dziejach Uniwersytetu Jagiellońskiego" — odczyt 18.20 Muzyka lekka 19.00 Słuchowisko p. t. „Słowacki w Poznaniu" 19.45 Koncert orkiestry wojskowej 20.30 „Poznań, jako środowisko kulturalne" — odczyt 21.00 13-ta audycja z cyklu „Sylwetki kompozytorów polskich" 21.50 Płyty dla znawców 22.30 Mała Orkiestra Polskiego Radia.

Piątek, dnia 23 kwietnia 1937 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Muzyka lekka 15.15 Koncert w wyk. orkiestry symfonicznej P. R. 16.30 Łódzka Orkiestra Salonowa 17.00 „Program liceów pedagogicznych" — odczyt 17.15 Koncert solistów 18.20 Muzyka lekka 19.20 „Z pieśnią po kraju" 19.45 „Zwiedzajmy ośrodek Wych. Fizyczn. w Warszawie" — reportaż 20.05 „Biały kwiat" — pogadanka o operze 20.15 Transmisja z Teatru Wielkiego w Warszawie opery „Biały kwiat" 23.00 Muzyka taneczna.

Sobota, dnia 24 kwietnia 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 „Śpiewajmy piosenki" 12.03 Zespół Almar i Otten z udziałem 2 fortepianów 14.30 Ogłoszenie konkursu z nagrodami dla dzieci pt. „Dlaczego powinniśmy kochać i szanować las" 15.15 Koncert rozrywkowy 16.15 „Z wieży Mariackiej „patrzymy na Kraków" 16.50 Koncert popularny Muzyka lekka 18.50 „Kraków i Poznań w życiu kulturalnym Polski" 19.00 Audycja dla Polaków za granicą 19.30 „Przy wieczornej herbacie" 21.00 Koncert 21.50 „Pół godziny impertynencji bez drutu" „Praojcom z zielonego balonika 22.00 Do tańca — gra Mała Orkiestra PR.

H-U-M-O-R

NA WIECZORKU

Żona: — Nabyłeś wielkiej wprawy w tańcu, dawniej. gdyś był kawalerem, zawsze obrywałeś mi suknie.

Mąż: — Bo nie płaciłem za nie!

W SĄDZIE

— Rozbiła pani salaterkę na głowie swego męża, jest to czyn, którego pani z pewnością żałuje?

— Och, tak, panie sędzio, szkoda salaterki, bo zapłaciłam za nią 5 zł!

PO ŚLUBIE

— Patrz, żonusiu, zaledwie pobraliśmy się, a już mi brak dwóch guzików.

— A cóżeś ty myślał, że po ślubie guziki nie będą ci odlatywały?

U LEKARZA

— Czy pani mąż skarży się na pragnienie?

— Otóż to właśnie panie doktorze. Nie skarży się na pragnienie, lecz cieszy się z tego powodu.

WNIOSEK

Sędzia: — Świadek słyszał cały przebieg kłótni między małżonkami, więc jakie pan wyniósł wrażenie?

— Że się nigdy nie ożenię, panie sędzio!

ZNALAZŁ SIĘ W KROPCE

Podczas walki o Szanghaj stracili Chińczycy ważna pozycję. Przy tej sposobności jednemu żołnierzowi chińskiemu kula urwała nos. Generał spotyka go pewnego dnia i pyta uszczypliwie:

— Gdzieś zgubił swój nos?

— Podczas tej samej walki, w której pan generał stracił głowę! — odpowiedział żołnierz.

AMERYKAŃSKI PUNKT WIDZENIA

W jednym z dzienników nowojorskich ukazała się następująca notatka:

„Znany milioner Wiliam T. Tohns został wczoraj, jadąc swoim autem, napadnięty przez rzezimieszków i zamordowany. Szczęśliwym trafem, zamordowany dzień przedtem zdeponował cały swój majątek w jednym z banków, tak, że faktycznie oprócz życia nic nie stracił".

ON SIĘ NIE ZMIENI

Państwo Chapalscy, którzy dzięki szczęśliwym konjunkturom powojennym dorobili się pieniędzy i bardzo niedawno weszli w towarzystwo, zaproszeni są na wieczór. Pani Chapalska ostrzega męża:

— Fredziu, a bój się Boga, uważaj na siebie i nie jedz znowu nożem.

— Ee, co! Niby dlaczego? Co mi się może stać? Od trzydziestu lat tak jem i nigdym się nie skaleczył...

POWÓDŹ

— Był pan we Wenecji? Jakże się panu podobało miasto?

— Na ogół bardzo ładne. Szkoda tylko, że właśnie wtedy w mieście była powódź.

TAKŻE GOŚCIE

Pani: — Wstydź się, Zosiu, posprzątałaś pokoje, a pod kanapą zostawiłaś wszystek kurz... Prosiłam cię przecież, abyś porządnie sprzątnęła, bo spodziewamy się dzisiaj gości...

Zosia: — Ech, skaranie Boskie z takimi gośćmi, co zaglądają pod kanapę!

SPÓŹNIONE GRATULACJE

— Słyszałem, że pani się w tamtym tygodniu zaręczyła. Proszę przyjąć i ode mnie życzenia, spóźnione wprawdzie...

— I to jak jeszcze! Właśnie wczoraj już z nim zerwałam...

NIESŁUSZNE WYMAGANIA

— Panie Kogutek, kiedy mi pan nareszcie zapłaci 200 złotych za ten garnitur, com go panu uszył rok temu?

— Wie pan, że to bezczelność! Za zeszłoroczny garnitur żąda pan 200 złotych. Przecież za te pieniądze mogę mieć najnowszy model!

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3,00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50, Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych. 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 50 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów à 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Red. odpow.: Maria Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie